ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 2(39) • Luty 2009 • Cena 2,00 zł

ISSN 1897-1024

Z aparatem i rakietą przez życie

Ten tytuł to oczywiste uproszczenie, mające służyć podkreśleniu nadzwyczajnej fascynacji śp. Jana Brysia swoim zawodem i tenisem ziemnym. Uszanujmy wolę Zmarłego i powtórzmy za nim, że urodził się „dość dawno". Nie lubił mówić o dacie urodzin; twierdził, że „nie ma się czym chwalić".

Z rodzinnego Żytniowa (k/Wielunia) do Złotoryi przyjechał w 1948 r. Zawodu nauczył Go ojciec, też fotograf, ale amator. Podczas okupacji pracował w zakładzie fotograficznym w Oleśnie. Profesjonalizm mistrza z Olesna sprawił, że podjął ostatecznie decyzję (jak się okazało słuszną) – zostać fotografem. Innego zawodu nigdy nie wykonywał. W Złotoryi terminował u Józefa Stryszowskiego, w zakładzie przy ul. Zielonej.

Chodziło się „do Brysia", do zakładu, który założył w Złotoryi w roku 1952, w Rynku. W ciągu całego życia wykonał ponad 100 tysięcy zdjęć i portretów. Ciągle się uczył, nie tylko zawodu. Dużo czytał, studiował różne poradniki i wydawnictwa popularnonaukowe. Był wdzięcznym dyskutantem, chociaż zaciekle bronił swoich racji. Z pasją rozwiązywał „krzyżówki". Pasja zresztą towarzyszyła mu w każdej dziedzinie. Całe Jego życie było niekończącą się pasją.

Jako nauczyciel zawodu, młodych fotografów uczył „patrzenia" na świat. Twierdził, że fotografowanie to „sztuka patrzenia". W zakładzie portretował, wykonywał zdjęcia legitymacyjne, zdjęcia z imprez i uroczystości. Fotografował osoby, a szczególnie dzieci, chciał pokazać ich „dusze" ich wnętrze. Robił to taktownie.

Nie stronił od pokazywania piękna przyrody, piękna Ziemi Złotoryjskiej i Dolnego Śląska. Kwitnące pola, łany zbóż, ośnieżone drzewa, jesienne krajobrazy – to ulubione tematy mistrza J. Brysia. W Złotoryi nie było zdarzenia i nie ma zabytku, którego On by nie sfotografował.

W ostatnim okresie doskonale opanował technikę fotografii komputerowej. Potrafił też „odmładzać" i „wygładzać", stąd miał duże powodzenie, szczególnie wśród pewnej grupy osób. Najbardziej cenił jednak fotografię czarno – białą.

Złotoryję fotografował, bo kochał to miasto, jego zabytki, piękno i ludzi. Cenił uczciwość i lojalność. W Jego 85-letnim życiu miewał pewnie – jak każdy – słabości i takie cechy jak: dobroć, życzliwość czy chęć normalnego życia nieraz mogły być wykorzystywane.

Złotoryja była jego „rodzinnym" miastem. Tutaj, z żoną Katarzyną, założył rodzinę, wychował dwoje dzieci: Urszulę i Krzysztofa. Przywiązywał dużą wagę do ich wykształcenia. Owdowiał w roku 1994 i po kilku latach ożenił się ponownie – z Barbarą. Do życia rodzin potrafił wnosić spokój, ciepło, ukojenie i zapewniał potrzebę bezpieczeństwa.

Jako młodzieniec i emeryt pasjonował się sportem: grał w siatkówkę, wspierał kolarstwo młodych i starszych, sam uprawiał amatorsko kolarstwo przez wiele lat. Współpracował z takimi działaczami sportowymi w Złotoryi jak: Adam Kukla, Edward Lubański, Tadeusz Kuczyński. Był bezsprzecznie pionierem tenisa ziemnego w Złotoryi. Gdyby w latach 70. obok organizatora tej dyscypliny, Tadeusza Kuczyńskiego, nie stanęli tacy – wręcz fanatyczni jej wielbiciele – jak Jan Bryś i Karol Pluta, złotoryjski tenis nie odgrywałby takiej roli i nie zajmowałby dziś tak znaczącej pozycji.

Drużyna LZS "Zieloni"

Blisko współpracował z Towarzystwem Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Pierwsza wystawa w Ośrodku TMZZ składała się z Jego fotogramów przedstawiających pierwsze lata powojennej Złotoryi. TMZZ nie był wyjątkiem – wiele zawdzięcza Mu Cech Rzemiosł Różnych, ZOKiR, ZHP.

W listopadzie 2008 r. ciężko zachorował. W pierwszej chwili nikt nie zdawał sobie sprawy, że zaatakowała go choroba, która w tym stadium nie daje już szans odwrotu. Dla rodziny i bliskich był to szok.

Odszedł bardzo szybko – 29 stycznia 2009 r. Pan Bóg nakazał mu zakończenie włodarzenia na tym ziemskim padole. Na miejsce wiecznego spoczynku, które znalazł na złotoryjskim cmentarzu komunalnym, odprowadziła go rodzina oraz bardzo liczne grono przyjaciół i znajomych.

Jan Bryś jest już więc na „drugim brzegu". Już tam pewnie dyskutuje z Panem Józefem na temat nowych „ujęć" i sprzętu fotograficznego, a z panem Karolem dodatkowo wiedzie spór, czy piłka była jeszcze w „korcie", czy też już „przekroczyła" linię …

Linię życia – na pewno.

Alfred Michler

PS. Korzystałem ze wspomnień bliskich Zmarłego oraz z mojej niedokończonej z Nim rozmowy – mieliśmy się umówić na jej dokończenie … Wyboru zdjęć dokonała żona Barbara.

Kapryśna modelka

Złotoryja pięknieje z miesiąca na miesiąc. Przybywa odnowionych ulic i odrestaurowanych domów w Rynku. Są nowe alejki. Z dumą możemy pokazać naszym gościom cieszące oko kolorowe widoki. A i amatorzy uwieczniania wszystkiego, co ciekawe, mogą poddać się szaleństwu pstrykania… No właśnie. I tu zaczyna się problem. Ktoś, kto chciałby uwiecznić co ciekawsze obiekty naszego miasta, o ile nie zauważy tego w czasie robienia zdjęć, to na pewno dojrzy w zaciszu domowym: wszędobylskie upiększacze. Gustowne, słoneczne kosze na śmieci w najbardziej eksponowanych miejscach to pestka. Drogowskaz do ubikacji publicznych pod basztą (w najlepszym dla fotografującego miejscu) to betka. Ale np. taki parkomat z przepięknym budynkiem Starostwa w tle, to jest już naprawdę coś. Mieniące się kolorami kosze na segregację odpadków nieopodal fontanny w Rynku da się jeszcze jakoś ominąć fotografującemu, ale konia z rzędem temu, kto uwieczniając budynek Katowni nie umieści na zdjęciu albo jednej z tablic chwalących dobrodziejstwo Uni Europejskiej lub, co gorsze, potężnego kubła na śmieci.

Przykładów można mnożyć, wybrałem tylko te, które wprawiły mnie w dziwne drżenie oka przyklejonego do wizjera, gdy pewnego śnieżnego poranka postanowiłem uwiecznić śpiące jeszcze miasto. A przecież wystarczyło troszeczkę, dosłownie o parę metrów dalej lub bliżej postawić taki czy inny element współczesnej architektury, aby nasze zabytki bezwstydnie odkryły wszystkie swoje wdzięki.

Robert Pawłowski

W latach 1970 - 1974 jako szesnastoletnia dziewczyna byłam najpierw uczennicą, a później stażystką w **zakładzie fotograficznym** pana **Jana Brysia**. Wybrałam ten zawód, ponieważ mój brat robił zdjęcia, co bardzo mi się podobało, a trzeba wiedzieć, że wtedy aparaty fotograficzne nie były tak powszechne jak obecnie.

W tym samym czasie co ja praktykę odbywały jeszcze dwie moje koleżanki. W pierwszym roku nauka polegała na poznawaniu wszystkiego, co było związane z fotografiką: nauka robienia zdjęć, przygotowywanie ekspozycji, wywoływanie filmów i odbitek, poznawanie zasad pracy w ciemni fotograficznej. Było to dla nas bardzo trudne, ale szef - Jan Bryś był bardzo cierpliwy. Spokojnie nam tłumaczył wielokrotnie to samo, a jak nadal czegoś nie rozumiałyśmy, to wracał jeszcze raz do tłumaczenia. Pamiętam, że dla żartu umówiłyśmy się z Justyną, że będziemy udawać, że nic nie rozumiemy. Biedny pan Bryś cierpliwie tłumaczył nam kolejny raz te same rzeczy. W końcu nie wytrzymała ta trzecia dziewczyna i poskarżyła szefowi, że my tylko udajemy taką tępotę umysłową. Wtedy właściciel zakładu w końcu się zdenerwował. Lecz w naszej obronie stanęła jego żona, Katarzyna Bryś.

- Nie denerwuj się mężu - mówiła mu - przecież dziewczynom takie powtarzanie tylko wyjdzie na dobre. Szybciej się nauczą.

I to była prawda. Już w pierwszym roku praktyki poprosiłam szefa, aby dał mi do retuszu negatyw zdjęcia legitymacyjnego. Dał mi ten negatyw, ale trochę się obawiał, bo gdybym go zepsuła, to należałoby powtarzać zdjęcie klienta od początku. Zrobiłam retusz, wyszedł mi bardzo dobrze. Szef był zaskoczony, widziałam, że był ze mnie zadowolony. Myślę, że moja umiejętność to była wyłącznie jego zasługa, bo był dobrym nauczycielem zawodu. Wymagał od nas bardzo dużo.

W drugim roku praktyki doszła nauka wykonywania zdjęć legitymacyjnych. Czasem szef dopuszczał nas do pomocy nawet przy zdjęciach ślubnych, co było oznaką niesłychanego zaufania. Do tego doszła nauka wywoływania filmów i obsługiwania powiększalnika do negatywów.

Pamiętam, jak po kolejnym tłumaczeniu, gdy nie bardzo wiedziałam, co źle zrobiłam w zdjęciu, szef powiedział:

- Proszę bardzo, idziemy do atelier. Justyna pozuje, a Grażyna robi zdjęcie. Zrobiłam to zdjęcie, zostało wywołane. Szef pyta:

- No i co, Grażynka, chciałabyś mieć takie zdjęcie w legitymacji?

Zdjęcie było okropne, Justyna wyszła na nim jak poczwara. Wtedy dopiero zrozumiałam o co chodzi z ustawieniem klienta i świateł. Wtedy zaczęłam robić dobre zdjęcia.

Pamiętam też zdarzenie, gdy już jako doświadczona praktykantka poszłam robić zdjęcia piorunów w czasie burzy letniej. Gdy szef się o tym dowiedział, strasznie na mnie nakrzyczał. To było bardzo niebezpieczne. Gdy już się uspokoił, i po kilku dniach wywołał zdjęcie, stwierdził, że jest piękne, i wysłał je na konkurs. Moje zdjęcie zdobyło tam nagrodę! Jednak nie mogłam fotografii podpisać własnym nazwiskiem. Byłam tylko praktykantką. Ale i tak byłam dumna, że zakład fotograficzny Jana Brysia ze Złotoryi zdobył nagrodę w ogólnopolskim konkursie fotograficznym.

Gdy już byłam dorosłą kobietą z własną rodziną, zamieszkałam w Lubinie. Podczas każdej bytności w Złotoryi zachodziłam do zakładu Jana Brysia, żeby zwyczajnie pogadać, wymienić poglądy na temat fotografiki i nie tylko. I mój szef, i ja lubiliśmy te nasze spotkania i rozmowy. Teraz już nie mam dokąd pójść… Poza tym mieszkam bardzo daleko, na drugim końcu Polski. Ale wiem na pewno, że jeżeli znajdę się w Złotoryi, pójdę na mogiłę mojego szefa i znów wymienimy poglądy… Tylko inaczej.

Grażyna Demczuk (z domu Chrzanowska)

Czwórki: Karol Pluta, Józef Stryszowski, Jan Bryś – zostałem już tylko ja. Odszedł bardzo dobry kolega i przyjaciel – doskonały fachowiec. I jako o człowieku, i jako fachowcu mogę mówić tylko pozytywnie.

Jan Filarowski mistrz fotograf

Do Złotoryi sprowadziłem się w 1961 r. W tym czasie mocno interesowałem się sportem i czynnie uprawiałem piłkę siatkową. Janka Brysia poznałem na boisku jako czynnego i rozmiłowanego w ruchu sportowca. Na początku roku 1969 założyliśmy klub piłki siatkowej LZS „Zieloni" przy PGR Złotoryja. I to był początek naszej kariery sportowej i koleżeństwa. Z biegiem lat zmieniały się nazwy klubu i składy drużyny, ale nasza przyjaźń nie ustawała. Gdy wskutek czynnego uprawiania sportu Jasiowi „wysiadło" biodro, a mnie stawy kolanowe, musieliśmy się wycofać z uprawiania siatkówki. Ponieważ jednak nie mogliśmy długo wytrzymać bez uprawiania jakiegoś sportu, przerzuciliśmy się na tenis ziemny. W roku 1976 w grupie: J. Bryś, Lubański, K. Pluta, T. Kuczyński, ja oraz kilku młodszych kolegów przystąpiliśmy do budowy pierwszego kortu tenisowego przy pl. Zacisze. Sport ten bardzo nas wciągnął i związał emocjonalnie. Janek był zapalonym tenisistą, interesował się postępami młodzieży i sam uprawiał ten sport pomimo częściowej utraty zdrowia. Około roku 2000 wycofaliśmy się z czynnego uprawiania tenisa, lecz do końca 2008 uprawialiśmy go w formie relaksu.

Jerzy Markowski

Zawsze aktywny, chętny, kreatywny i zaangażowany. Organizator i współorganizator wielu wystaw, nie tylko fotograficznych. Ze Złotoryjskim Ośrodkiem Kultury związany był nie tylko pracą zawodową, ale przede wszystkim pasją tworzenia i uczestnictwa w życiu, co szeroko nazywamy kulturą symboliczną. W pamięci po Janie Brysiu pozostaje jego skromna osobowość, a także prace utrwalające historię Ziemi Złotoryjskiej.

Zbigniew Gruszczyński
dyrektor ZOKiR

Jego fotografie wzbogacały wydawnictwa TMZZ (np. Dzieje Złotoryi). Wiele godzin poświęcił w ciemni fotograficznej na wykonanie reprodukcji i slajdów z archiwalnych fotografii – nauczyciele historii wykorzystywali te reprodukcje i slajdy na lekcjach; zasiliły też zbiory Komisji Historycznej i TMZZ. Chętnie udostępniał swoje zbiory. Wspólnie z miejscowymi historykami dokumentował nasze zabytki – miasta i powiatu – na potrzeby TMZZ i konserwatora zabytków. Jago zasługi są nieocenione!

Roman Gorzkowski historyk, regionalista

Będąc mistrzem – artystą w zawodzie wykształcił wielu uczniów, a w wolnych chwilach pasjonował się dokumentowaniem najładniejszych miejsc i zabytków naszego miasta i okolic. Fotografie Jana Brysia ukazują, jak nasze

dokończenie na stronie 4.

ECHO ZŁOTORYI **Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej**

Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Ryszard Masłowski (fotoreporter) Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).

Zdjęcie na okładce: Widok z Al. Miłej - R. Pawłowski.

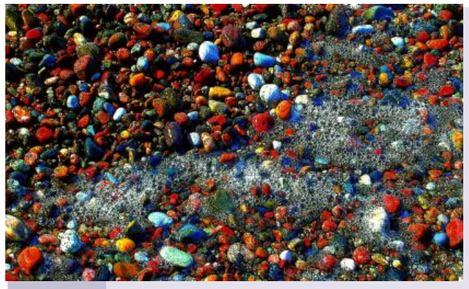

ciąg dalszy ze strony 3

miasto zmieniało się na przestrzeni lat; mogliśmy to oglądać na kilku wystawach Jego prac w ZOK.

Był również znanym działaczem turystycznym i sportowym - szczególnie sekcji tenisa ziemnego.

Był współorganizatorem budowy pierwszego kortu tenisowego przy ul. Kwiatowej w Złotoryi. Tę swoją pasję do tenisa przekazywał młodzieży rzemieślniczej i nie tylko, organizując turnieje tenisa. Sam prawie do ostatnich dni swego życia uprawiał tenis ziemny.

Po zakończeniu działalności zawodowej w 1997 r. i przejściu na emeryturę, nadal chodził z aparatem – dokumentując poprzez fotografię wszystkie wydarzenia i ciekawe miejsca w naszym mieście i powiecie. Miał jeszcze wiele planów … Niestety ciężka choroba przerwała wszystko…

Jan Worsztynowicz Cech Rzemiosł Różnych

Kiedy prowadził warsztat, wielokrotnie wykonywał usługi nieodpłatnie – od harcerzy nie brał pieniędzy. Dla ZHP była to wielka pomoc.

Ewa Miara Kom. Hufca ZHP

Wykonywał nie tylko swój zawód:

- On był artystą; był nie tylko fotografem

- był fotografikiem i stworzył piękne rzeczy.

Kochał swój zawód do końca. Był postacią niezwykle żywą, ruchliwą – wszędzie Go było „pełno". Cenił ruch, kulturę fizyczną i sport. Wspólnie z Henrykiem Stachowskim zainicjowali funkcjonowanie amatorskiej sekcji kolarskiej. W każdą niedzielę o godz. 8[00] spod PDK (dziś ZOKiR) wyruszaliśmy na trasę. Uprawiał nie tylko kolarstwo – startował również w zawodach lekkoatletycznych i w roku 1948 zdobył wicemistrzostwo powiatu w skoku wzwyż (za Ludwikiem Łaciakiem). Dla rzemieślników organizował wycieczki zagraniczne już w latach 60.

Zdzisław Marciniak mistrz krawiecki

Wspomnienia zebrał Alfred Michler.
Zdjęcia ze zbiorów Jana Brysia.

Rada Gminy

Pierwszą w nowym roku, a XXIII w kadencji sesję Rady Gminy zwołał jej przewodniczący **Józef Pawlus** w dn. 28.01.2009r. Obecni byli wszyscy radni (15), prawie wszyscy sołtysi oraz władze gminy: wójt, sekretarz, skarbnik.

O działalności urzędu i wójta między sesjami poinformowała zebranych wójt **Maria Leśna**. Uwzględniając najistotniejsze z nich, przekazała, że był to okres sporządzania licznych sprawozdań, przeprowadzono przetargi (np. na drogę Lubiatów – Podolany) oraz rozpoczęto niektóre zadania inwestycyjne. Trwają trudne negocjacje z Energią Pro w sprawie konserwacji oświetlenia, z Ministerstwem Sportu w/s korekty programu „Orlik" w Wilkowie-Osiedlu, a z ANR – w/s przejęcia dróg. Przygotowano cykl zebrań wiejskich, w których władze gminy chcą brać udział i biorą, aczkolwiek organizacja takich zebrań przez sołtysów nie jest obowiązkowa. Poinformowała o rozpoczętym naborze LGD do programu Leader.

W odniesieniu do poruszonych problemów niektórzy radni przedstawili swój punkt widzenia, np. **Jacek Parański** (Wilków-Osiedle) wyraził niepokój, czy w przypadku braku zgodności z Ministerstwem Sportu, program „Orlik" będzie zagrożony. Otrzymał odpowiedź uspokajającą: rozmowy z tym resortem prowadzone są dlatego, ażeby najpełniej pogodzić interes osiedla ze szkołami. Sołtys Jerzmanic-Zdroju, **Edward Janiec** uznał, że zebrania wiejskie należy organizować z jak najszerszym udziałem władz, a także policji.

W punkcie **interpelacje, wnioski i zapytania** radni „nadrobili" swój grzech zaniechania sprzed miesiąca i wzięli na celownik szefową gminy. Rozpoczął **Zbigniew Głąb** (Prusice) prosząc o wystąpienie do PKS w/s wznowienia kursu. **Tadeusz Chmielowski** (sołtys Wyskoku) poruszył sprawę boiska, działek budowlanych, świetlicy oraz kamienia. Sprawa kamienia (grysu) wyszła jeszcze przy interpelacji **Mariana Trojnackiego** (Wilków – Wieś) oraz **Zenona Baranowskiego**, który dodatkowo wypowiedział się w sprawie likwidowanych punktów pocztowych, a przede wszystkim w sprawie stypendiów dla uczniów – sportowców. Sekwencję Wilkowa kontynuowali: **Henryk Luzar** (poczta), **Elżbieta Banaszyńska** (poczta, promocyjna sprzedaż mieszkań) oraz **Jacek Parański** (lokalizacja pojemników na śmieci oraz skrzyń z piaskiem, rozważenie możliwości zorganizowania punktu pocztowego w oparciu o ZGKiM). **Wioletta Zając** (Jerzmanice-Zrój) upomniała się o sprawę zbiornika, która od dłuższego czasu ponawiana jest na forum RG, natomiast **Czesław Czapliński** (Lubiatów) wnioskował o reperację drogi po okresie zimowym.

Wójt **M. Leśna** ustosunkowała się do wszystkich zgłoszonych problemów. Zapewniła m.in., że przygotuje wystąpienia do PKS, zaś w sprawie kamienia (grysu) wyjaśniła, że sposób pozyskiwania tego materiału jest dla gminy bardzo korzystny, gdyż dzięki przychylności PGP „Bazalt" i firmy „Colas" gmina otrzymuje go nieodpłatnie i ma stałą umowę z przewoźnikiem, który – jak się okazuje – nie zawsze zdąża z przewozem z powodu nadmiaru robót.

Elżbieta Grzybek, kierowniczka Powiatowego Zarządu Dróg, przedłożyła **informację o planowanych remontach dróg powiatowych w r. 2009**. Referentka przypomniała na wstępie główne dokonania poprzedniego roku ubiegłego mierzone m.in. przekroczeniem planu wydatków (z 205 tys. do 346 tys.). Na rok 2009 w budżecie założono kwotę 223 tys., z której największą pozycję stanowią remonty cząstkowe całej sieci (50 tys.). gdyby mierzyć ilość wystąpień oraz ich natężenie po tej informacji, to należy przyjąć, że zarówno radni, jak i sołtysi ze stanu dróg zadowoleni nie są. Głos zabrali: Marian Trojnacki, Zbigniew Głąb, sołtysi: Czesław Pawlus (Podolany), Grzegorz Hardy (Lubiatów), Władysław Lizoń (Rzymówka), Małgorzata Chudzik (Sępów), Bronisław Cich (Rokitnica). Właściwą pointą, choć nieco gorzką, jest krótka wypowiedź przewodniczącego RG **J. Pawlusa**: „nie ma się czemu dziwić, skoro większość naszych dróg pochodzi z lat 60/70".

Nastroju na sali obrad nie poprawiła również informacja **Jolanty Adamiec o stanie bezrobocia w Gminie Złotoryja w r. 2008.** Z informacji zastępczyni dyr. PUP wynika, że zarówno w powiecie jak i gminie stopa bezrobocia w porównaniu z r. 2007 – spadła. Tym niemniej w grudniu 2008 na terenie gminy było nadal aż 500 bezrobotnych (więcej kobiet), a w ciągu roku zarejestrowało się 876 osób. Każdy bezrobotny to problem, lecz jego ranga jest tym większa, że w gminie prawie 1/3 z ogółu bezrobotnych to ludzie młodzi w przedziale wieku 25 – 43 lat (142 osoby). Referentka przedstawiła również działania PUP zmierzające do obniżenia stopnia dolegliwości tego bolesnego problemu.

W nawiązaniu do tego wystąpienia głos zabrali, np. J. Pawlus: „W gąszczu tak skomplikowanej materii prawnej, bezrobotny jest praktycznie zagubiony i tylko od postawy pracowników PUP zależy, czy znajdzie szczęśliwe rozwiązanie". **Aleksander Didenkow** (Jerzmanice-Zdrój) stwierdził, że większość przepisów, które aktualnie wchodzą w życie, nie przystaje do obecnej, kryzysowej rzeczywistości, gdyż tworzono je w zupełnie innej, korzystniejszej sytuacji ekonomicznej. **E. Janiec** zapytał o rolę LSSE: „Ile ofert złożyła strefa ekonomiczna?". Odpowiedź brzmiała: „nie ma stałej współpracy ze strefą"; zdaniem J. Adamiec zatrudnia ona „ z górą 300 osób".

Radni **przyjęli 4 uchwały**. Nietypową większością przeszła uchwała podjęcia planu zagospodarowania przestrzennego dla farm wiatrowych w obrębie Wyskok i Brennik: nikt nie był przeciw ale tylko 5 było za przy 10 wstrzymujących się (jest to propozycja innej firmy, która realizując ją w najnowszej technologii chce go również sfinansować). W uchwale dotyczącej zmiany w budżecie radni (przy trzech głosach przeciwnych) zdecydowali się wesprzeć m.in. remont zabytkowych pieców w Leszczynie oraz wieży kościoła św. Michała w Rokitnicy. W tej ostatniej sprawie podjęto (11:2:2) odrębną uchwałę.

W **sprawach różnych** wójt **M. Leśna** poinformowała, że nadeszła propozycja zorganizowania dożynek wojewódzkich. Następnie bardzo szczegółowo przedstawiła i omówiła zakres i stan uciążliwych rozmów z energetyką w/s modernizacji i konserwacji sieci. Ustalany jest również problem własności – dziwić musi fakt, iż nie jest on uregulowany np. w Wilkowie-Osiedlu.

Słowniczek:

„Orlik-2012": to kryptonim rządowego programu budowy boiska w każdej gminie do r. 2012 (roku ME w piłce nożnej). Dzięki temu przedsięwzięciu mamy dochować się godnego zastępu naszych mistrzów, w tym m.in. następców „orłów" K.Górkiego. Ma to być profesjonalny kompleks sportowy ze sztuczną trawą do gry w piłkę, placem do koszykówki i zapleczem sanitarnym. Miał kosztować milion złotych, na którą to kwotę miały się złożyć w równych częściach (po 1/3): rząd, marszałek województwa, gmina. Mimo takiej pomocy wiele gmin, również na Dolnym Śląsku, nie stać na to. Pojawił się ponadto dodatkowy problem – znawcy twierdzą, że taka inwestycja za milion złotych to dziś fikcja; padają kwoty prawie dwukrotnie wyższe (1,5 – 1,8 mln). Niektóre gminy przekładają więc realizację, niektóre rezygnują. W roku 2009 „Orliki" mają powstać m.in. w Złotoryi, Wilkowie-Osiedlu i Starej Kraśnicy. Może nam się uda! W razie kłopotów trzymamy za słowo wicemarszałka Dolnego Śląska – Piotra Borysa: „Jeśli któraś z gmin będzie miała problem z budową „Orlika" tylko ze względu na brak środków na wkład własny, będziemy rozważać ich pokrycie z Dolnośląskiego Funduszu Wsparcia" (za GW, 31-1.02.2009).

Opracował Alfred Michler

Nasi Drodzy

Tak, tak proszę Państwa! Być może już niedługo nasze miasto stanie się sławne dzięki niedawno powstałej kapeli, tworzącej wspaniałą muzykę w rockowych klimatach. Owi artyści to zdolni i ambitni nastolatkowie, których mogliśmy usłyszeć podczas akcji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Oczywiście mowa o zespole **Expensive**. W jego skład wchodzą: wokalista - Mariusz 'Maniek' Jureczko; perkusista - Michał 'Mróz' Mrozo; gitarzysta - Paweł 'Synu' Synowiec i basista Hubert 'Kłaku' Kłak.

Postanowiłyśmy bliżej zapoznać się z zespołem i dowiedzieć się o jego planach. Uznałyśmy, iż nie ma lepszego sposobu niż wprosić się na próbę Expensive.

Za miejsce spotkań zespołu służy kanciapa znajdująca się w drugim skrzydle szkoły przy ul. Kolejowej (obecnie Ośrodek Doskonalenia Zawodowego). Po dotarciu na miejsce, naszym oczom ukazało się niewielkie pomieszczenie, które standardem nie przerosło oczekiwań gości. Mimo wszystko, miejscówka ta posiada swój klimat. Ściany zdobią i wygłuszają wytłaczanki po jajkach i koce. Nie zapominajmy też o wielkim logo zespołu. Po wejściu chłopcy zajęli się sprzętem i niezwłocznie przystąpili do próby. Nam nie pozostało nic innego, jak wsłuchiwać się w ich grę. Towarzyszył nam również przyjaciel zespołu- Bartek 'Kajman' Kajor, który nie odstępuje grupy na krok. Gdy nasi artyści postanowili zrobić sobie przerwę, my przystąpiłyśmy do działania i zasypałyśmy ich pytaniami.

Echo Złotoryi: Czy wszyscy jesteście ze Złotoryi?
Maniek: Ja jestem z Chojnowa. A reszta to już Złotoryja. A nie, jeszcze Kłaku.
Kłaku: Ja reprezentuje Prusice. Ze Złotoryi pochodzą Mrozo i Synu.

E.Z.: Niezły rozrzut. W takim razie jak wyglądają wasze próby?
Kłaku: Nie mamy jeszcze ustalonego harmonogramu. To właściwie nasze pierwsze próby w tym miejscu. Wcześniej odbywały się one w Centrali Nasiennej niedaleko Vitbisu.

E.Z.: Jak to się stało, że zmieniliście miejsce prób? To lepsza lokalizacja?
Kajman: Właściwie to Mróz kiedyś zapytał, co się dzieje z drugą stroną szkoły. Sam byłem ciekaw, więc udałem się z tym pytaniem do Dyrektor naszego LO. Okazało się, że są tam nieużytkowane pomieszczenia znajdujące się w piwnicy. Uznaliśmy, że byłoby to całkiem dobre miejsce do prób zespołu.

E.Z.: Bez problemu uzyskaliście zgodę?
Kłaku: Noo, to głównie zasługa Bartka. Usilnie próbował zdobyć dla nas jedno z pomieszczeń.
Kajman: Pani Dyrektor, która wynajmuje sąsiadujące skrzydło panu Moskotowi, wyraziła zgodę na użyczenie nam lokum za darmo. Ucieszył ją fakt, iż uczniowie tak się angażują w rozwijanie swej pasji. Skierowała nas do naszego nauczyciela PO, pana prof. Karsta, który posiadał klucze. Okazało się, że był to wcześniej magazyn sprzętu szkolnego. Tak więc znaleźliśmy tam wiele ciekawych przedmiotów ;)

E.Z.: Gratulujemy Wam więc sprawnej organizacji
Synu: No w sumie nie do końca.
Kajman: Musimy dogadać się jeszcze z panem Moskotem co do terminów prób, by nie kolidowały one z odbywającymi się u góry kursami szkoleniowymi. Chcemy wszystko załatwić bez komplikacji.
Maniek: W końcu Expensive to porządny zespół.
E.Z.: Właśnie, skąd wzięła się nazwa zespołu?

Mróz: To jest bardzo skomplikowana historia..
Maniek: Co Ty gadasz. Wymyśliłem tę nazwę, ot tak, na poczekaniu.
Kłaku: Ach, te niezgłębione tajniki Mańkowego jestestwa.

E.Z.: Ile do tej pory zagraliście koncertów? Jak je wspominacie?
Mróz: Pierwszy nasz występ był na 18stce Bartka.
Synu: Z takich poważniejszych to dwa koncerty z okazji WOŚP-u. Pierwszy w Chojnowie, a kolejny w Złotoryi. Taka jednodniowa trasa koncertowa.
Kłaku: No cóż, jak każdemu początkującemu towarzyszyły nam nerwy. Jednak szybko się rozluźniliśmy. Myślę, że jest to głównie zasługą publiczności.
Synu: To było naprawdę niesamowite przeżycie. Uszczęśliwiał nas fakt, że przy naszej muzyce bawiły się dwa pokolenia- zarówno młodych jak i starszych.
Kajman: Chciałbym dodać, że koncert w Złotoryi miał bardzo duże znaczenie, gdyż zespół zagrał piosenkę dedykowaną naszej zmarłej koleżance. Piosenka nosi tytuł: „Historia pewnego istnienia".

E.Z.: To piękny gest. Chłopaki, a jak wasze plany na przyszłość?
Maniek: Planujemy trasę koncertową na wakacjach. Jakoś może po maturze Syna. A póki co nagrywamy demo.
E.Z.: Czy chcielibyście coś dodać do Waszych wypowiedzi?

Synu: Pochwalmy się Mańkiem!
Kłaku: Nasz Mariusz wystąpił w „Szansie na sukces", gdy gościem był zespół Kombi. Brał też udział w „Fabryce Gwiazd", nawet w dalszych etapach.

A co mieszkańcy Złotoryi sądzą o Expensive. Oto wyniki przeprowadzonej przez nas sondy ulicznej, podczas której zadałyśmy jedno pytanie: Czy słyszała Pani/Pan o zespole Expensive? Jak ich Pani/Pan ocenia?
pani Barbara: *Coś słyszałam. Od mojej córki, która była na ich koncercie na WOŚP. Jak wrócila, rozpływała się w opowieściach o wokaliście. Osobiście nie słyszałam, jak grają, ale intryguje mnie widok wokalisty*
Łukasz: *To ten zespół z WOŚPu? No to nawet fajnie grali chłopaki. Lubię takie klimaty.*
pan Zbyszek: *Proszę pani, ja się nie orientuje w sprawach muzyki, jeszcze jakiejś zagranicznej.*
Marta: *To nie moje brzmienia. Chociaż zespół prezentuje się fajnie.*
Gośka: *No jasne! Super się bawiłam na ich koncercie! Perkusista wymiatał.*

Zespół Expensive całkiem nieźle sobie poczyna. Dla tych, którzy nie mieli jednak okazji ich posłuchać, mamy rozwiązanie. Zespół posiada swoje konto w Internecie. Znajduje się tam 5 filmików z koncertu. Można więc zapoznać się z ich twórczością:
http://www.youtube.com/expensive
Na specjalne życzenie zespołu, apelujemy w jego imieniu do wszystkich Czytelników o wsparcie. Chłopcom przydałyby się materace, dodatkowe koce lub duże partie materiału i wytłaczanki. Jednym słowem szukają sponsorów. Zainteresowani mogą uzyskać informacje pod adresem mailowym: **expensiveband@gmail.com**
Na zakończenie serdeczne życzymy zespołowi powodzenia i sukcesów na muzycznej arenie oraz wytrwałości w osiąganiu wyznaczonych celów. Mamy nadzieję, że jeszcze nie raz usłyszymy o tej złotoryjskiej kapeli. Powodzenia!

Joanna Staworzyńska i Agata Sporek

Kryptonim „Orlik"

W Pielgrzymce powstaje jedno w wielu zaplanowanych przez rząd boisk w ramach programu ORLIK 2012. Jest to rządowy projekt, który powstał w związku ze zbliżającymi się Mistrzostwami Europy w piłce nożnej w 2012 roku. Boiska zostaną sfinansowane głównie dzięki Ministerstwu Sportu oraz Dolnośląskiemu Urzędowi Marszałkowskiemu. Obydwie te instytucje zapłacą po 333 tys. Złotych, reszta środków to wkład własny gminy.

Głównym celem przyświecającym pomysłodawcom jest rozpowszechnienie sportu przede wszystkim wśród najmłodszych, choć będą to także boiska ogólnodostępne dla wszystkich. W celu zapewnienia bezpieczeństwa oraz dobrego zarządzania boiskami zostanie zatrudniony animator, który oprócz wcześniej wymienionych funkcji będzie także organizował różne zajęcia pozalekcyjne dla dzieci oraz wszelakie zawody międzyszkolne, a także pomiędzy klubami sportowymi – mówi wójt gminy pan Tomasz Sybis

Co o projekcie, jego realizacji sądzą nauczyciele gimnazjum w Pielgrzymce, zapytaliśmy panią Annę Hajdun

Echo: Jakie korzyści dla szkoły niesie utworzenie w Pielgrzymce wielofunkcyjnego boiska w ramach projektu ORLIK 2012 ?
Anna Hajdun: Dla szkoły otwiera to perspektywy w zakresie nauczania zajęć wychowania fizycznego, realizowania dyscyplin, które teraz nie mogą być nauczane ze względu na brak sali gimnastycznej.

Echo: Więc w jaki sposób obecnie odbywają się zajęcia z w-fu ?
A.H: Uczniowie ćwiczą na korytarzach, pozbawione są ćwiczeń z koszykówki, siatkówki, ponieważ do ich nauki nie ma warunków.

Echo: Na jakiej dyscyplinie zatem skupiają się nauczyciele podczas zajęć ?
A.H: Są to aerobik oraz taniec towarzyski, ćwiczone również na korytarzu, jedynie piłka nożna w pewnym stopniu jest realizowana na stadionie sportowym.

Echo: Czy szkoła partycypowała w kosztach budowy boiska?
A.H: Nie, cała inicjatywa w tej sprawie należy do gminy, z czego jesteśmy zadowoleni.

Echo: Nauczyciele się cieszą z nowych możliwości, a uczniowie i rodzice?
A.H: Rodzice są bardzo zadowoleni, bo po skończeniu boisk ich pociechy będą mogły pograć w piłkę, spożytkować właściwie czas, zamiast stać na dworze i pić piwo .Sami uczniowie czekają z wielką niecierpliwością, bo przecież każda forma sportu przynosi radość.

Echo: Ile młodzieży uczęszcza do gimnazjum w Pielgrzymce ?
A.H: Jest to około 250 osób, jedno gimnazjum na pięć wiosek, więc stworzenie zajęć sportowych bez sali, boiska jest niemożliwe.

Echo: Boisko to nie wszystko. Brakuje wam jeszcze sali gimnastycznej. Szkoła zamierza podjąć się jej budowy?
A.H: Tak, dofinansowanie na salę mamy jako szkoła dostać w tym roku.

Echo: jak już to wszystko się ziści, planuje Pani utworzenie w przyszłości klubu sportowego czy też innych pozalekcyjnych zajęć o charakterze sportowym ?
A.H: Moim planem i marzeniem jest utworzenie klubu piłki ręcznej, tu warto wspomnieć, że nasza szkoła wygrywała w piłkę ręczna i unihokeja ze szkołami, które salę bądź boisko posiadały.

Echo: Dziękujemy za poświęcony nam czas i życzymy dalszych sukcesów.
A.H: Również dziękuję.

rozmawiali: Adrian Gorge i Michał Lakwa

Kryzys w małym mieście

Gdy wszystko zaczyna iść dobrze, wtedy należy zacząć się martwić.

Trudno w sobie obudzić dyscyplinę, gdy rozleniwiający dobrobyt rozlewa się po świecie., gdy jest z górki a nie pod górę. Dlatego większość graczy na rynku z pewnym przerażeniem odbiera to, co dzieje się w ich otoczeniu. Zdziwienie dopada wszystkich, tak jakby to po raz pierwszy hulająca do tej pory gospodarka nagle zwolniła. Do tego media, które zwietrzyły nagle swoją szansę po długim czasie nieurodzajnego dobrobytu, prześcigają się w wieszczeniu nieszczęścia, bo nic tak dobrze się nie sprzedaje, jak krew i proroctwo nadchodzącego nieszczęścia. Działa to trochę jako samospełniająca się przepowiednia.

Ilu tu rzeczy, których nie potrzebuję.

Żeby spróbować choć w jakiejś części odpowiedzieć na pytanie, czy mamy kryzys, czy go nie mamy, czy będzie czy nie, a jeżeli będzie, to jak bardzo nas dotknie, warto choć w wielkim skrócie przybliżyć istotę tego, co kryzysem się mieni.

Tak jakoś nieszczęśliwie się dzieje, że gospodarkę światową nakręca konsumpcja. To jest zaklęte koło: im więcej konsumujemy, tym lepiej dzieje się w gospodarce: im więcej wydajemy, tym więcej zarabiamy. To potrzeby - te prawdziwe i te wmówione nam przez wszechobecny i wszechmocny marketing tak naprawdę nakręcają cały mechanizm. Rosną wskaźniki. Rośnie majątek, w głównej jednak mierze majątek bardzo umowny, jak bardzo jest np. umowna wartość takiej czy innej spółki akcyjnej, jak bardzo jej wycena opiera się na wartościach trudno policzalnych, okazuje się, gdy następuje tąpnięcie na rynku. Wtedy te wszystkie znaki towarowe, loga, udziały w rynku, tracą na wartości. Bańka dobrobytu pęka. Ktoś kiedyś policzył, że masa pieniądza, która gdzieś tam wirtualnie egzystuje w przyrodzie, wielokrotnie przekracza to, co można za nią nabyć. Tym dziwniejsze wydaje się więc wlewanie kolejnej masy pieniądza bez pokrycia w system bankowy, jak czynią to niektóre państwa ze Stanami Zjednoczonymi na czele.

Na podstawie tego, co pokazują media, wpadamy w przeświadczenie, że kryzys jest. Ale jak wygląda to wszystko z perspektywy nam najbliższej?

Gdzie szukać oznak kryzysu?

Przede wszystkim tam, gdzie bezpośrednio styka się klient końcowy ze sprzedawcą – w sklepach. Na lokalnym rynku sprzedaż detaliczna spadła w porównaniu z rokiem ubiegłym u większości zagadniętych przedsiębiorców. Ale są i wyjątki, jeden z zagadniętych przeze mnie sprzedawców stwierdził, że obroty wzrosły dwukrotnie w porównaniu z rokiem ubiegłym. Szybko jednak wyjaśnia: *stało się tak m.in. dlatego, że z miasta wycofała się konkurencyjna firma.* Mam dylemat, jak traktować telefony komórkowe: jako dobro podstawowe czy luksusowe? Spotkany przeze mnie przedstawiciel tej branży twierdzi, że popyt na nie w ostatnim czasie wzrósł. W branży spożywczej zanotowano spadek obrotów, zwłaszcza jeśli chodzi o dobra bardziej luksusowe. W mniejszym stopniu, ale także zmalała sprzedaż dóbr podstawowych. *Zdecydowanie spadły obroty w weekendy* – opowiada jeden z właścicieli sieci małych sklepów spożywczych. *Klienci ograniczają zakupy droższych alkoholi, ekskluzywnych wędlin.* Generalnie oznacza to, że konsumenci mają mniej pieniędzy. Z drugiej jednak strony przedsiębiorcy odnoszą się do dwóch ostatnich lat, gdy wszystko szło. Szybko zapomnieliśmy, że jeszcze trzy, cztery, pięć lat temu nie było tak różowo. Oczywiście, są zdecydowane różnice, bo w ostatnim okresie na fali wzrostu gospodarczego powstało dużo nowych firm – wystarczy przejść się ulicami Złotoryi, żeby zobaczyć, ile nowych sklepów otwarto. Jest większa konkurencja i niestety nastąpi jej redukcja – to zła wiadomość. A dobra – małym firmom czasami łatwiej przetrwać trudne czasy, są bardziej mobilne, szybciej reagują na zmiany, lepiej się adaptują.

Transport

Na drugi ogień w poszukiwaniu kryzysu poszedł transport. Z założenia, gdy zmniejsza się poziom konsumpcji, dosyć szybko powinni to odczuć właśnie przewoźnicy. O kłopotach dużych spedytorów, zwłaszcza w kontekście przewozów międzynarodowych, było swego czasu głośno, ale my przecież koncentrujemy się na rynku lokalnym. Przepytany przeze mnie jeden z właścicieli firmy transportowej twierdzi, że nie widzi żadnych oznak kryzysu. Nadal przewozi tyle, ile przewoził, klienci płacą, chce się dalej rozwijać. Jest to o tyle istotne, że pośrednio mówi także o swoich klientach, którzy zgodnie z tym mają się całkiem dobrze.

Produkcja

Małe firmy produkcyjne różnie reagują. Są takie, które po okresie chwilowej stagnacji na początku roku wracają do równowagi, inne wciąż narzekają, że zamówienia spływają nieregularnie. Okres prosperity skłonił niektórych przedsiębiorców do inwestycji. Niektórzy teraz zastanawiają się, czy dobrze zrobili kupując nowe maszyny czy wznosząc nowe hale produkcyjne. Do mnie przemawia filozofia jednego z nich, który mówi: *kryzys to coś przejściowego, po nim nastąpi znowu koniunktura, gdy zainwestuję teraz, to gdy znowu nastąpi wzrost, będę na to przygotowany.* Oczywiście ma to sens, gdy inwestycja nie pochłonęła wszelkich dostępnych rezerw. Inwestycje mają to do siebie, że z założenia powinny podnieść efektywność pracy, w związku z tym, gdy produkcja utrzymuje się nawet na niezmienionym poziomie, to maleje zapotrzebowanie na pracowników i tak stało się w kilku znanych mi przypadkach. Są jednak i takie firmy, które planują w najbliższym czasie wzrost zatrudnienia.

Budownictwo

Kołem zamachowym naszej gospodarki miało być budownictwo. I rzeczywiście, podróżując przez Polskę, co chwila można spotkać jakiś plac budowy. Według jednego z moich rozmówców, *będzie to rok dla dużych firm w branży, które powinny poradzić sobie w tych niespokojnych czasach, natomiast małe firmy, bez zaplecza w postaci dużych dostawców i dużych instytucjonalnych odbiorców, mogą wypaść z rynku.* Rozpoczęte w latach ubiegłych inwestycje trudno zahamować – jest to po prostu nieopłacalne, więc mimo okresu zimowego i cięższej niż w ubiegłych latach zimy, budownictwo jakoś się kręci, co napawa niewątpliwie optymizmem. Prym wiodą inwestycje o charakterze przemysłowym, gorzej ma się budownictwo mieszkaniowe, ale i tu trudno mówić o zapaści. Potwierdza to mój kolejny rozmówca. Dostrzegając pewne niepokojące symptomy zawirowania na rynku, twierdzi ze spokojem: *jeżeli poradziłem sobie, gdy miałem długi i ledwo starczało na życie, poradzę sobie i teraz kiedy moja sytuacja jest zdecydowanie lepsza. Obawiam się jedynie powrotu do niezdrowej konkurencji, gdy firmy, które będą w trudnej sytuacji finansowej lub działające na pograniczu szarej strefy będą zaniżać ceny swoich usług, aby pokryć bieżące zobowiązania. Daje się też odczuć bardziej rygorystyczne podejście banków do udzielania kredytó, zdarza się, że klient, który rozpoczął już inwestycję przychodzi i mówi, że musi ograniczyć wydatki z uwagi na przyznanie przez bank niższego, niż planował kredytu.*

Import-Export

Sądne dni przeżywają firmy importujące. Z jednej strony powinny ceny oferowanych na rynku towarów dostosować do aktualnego kursu złotego względem euro. Z drugiej - jest rynek, który niekoniecznie musi zaakceptować podwyżki. Dodatkowym czynnikiem jest niepewność, jaki kurs będzie za miesiąc czy dwa, gdy klienci zapłacą za sprzedany towar, lub gdy trzeba będzie rozliczyć się ze swoimi dostawcami z zagranicy.

Żeby poprawić swoją sytuację, myśli się często o reeksporcie lub o zastępowaniu produktów zagranicznych krajowymi substytutami. Na drugim biegunie są eksporterzy oraz ci, którzy do tej pory eksport, z uwagi na aprecjację złotówki (przeszacowany kurs złotego) traktowali po macoszemu. Niedoszacowany złoty stwarza niepowtarzalną szansę na odzyskanie rynków zagranicznych, jak również zastąpienie dóbr do tej pory importowanych produktami rodzimymi. Stąd niektóre firmy myślą nad wzmożeniem działań, mających na celu pozyskanie odbiorców zagranicznych.

Rynek pracy

I tu dochodzimy do meritum. Prawdziwy kryzys to nie zmniejszenie się dochodów przedsiębiorców czy okresowe zmniejszenie produkcji, co wbrew pozorom nie zawsze idzie w parze. Kryzys staje się faktem wtedy, gdy zaczyna powiększać się rzesza ludzi bezrobotnych.

W powiecie złotoryjskim, jak dotąd, nie zanotowano zdecydowanego wzrostu bezrobocia. Jak podaje Powiatowy Urząd Pracy, *w okresie od listopada 2008 do stycznia 2009 r. jeden pracodawca powiadomił o zamiarze dokonania zwolnień grupowyc"*, których przyczyną jest spadek zamówień na produkowane przez firmę produkty. W lutym o takim samym zamiarze poinformowała jeszcze jedna firma z terenu powiatu – w sumie informacja dotyczy 25 osób. Nie widać też wyraźnego pogorszenia się sytuacji w zakresie spływających do urzędu pracy ofert pracy. Zarówno zwolnienie jak i oferty pracy wskazują wprawdzie na nieznaczny wzrost bezrobocia, nie są to jednak w tej chwili wielkości, na podstawie których można by wysnuć jednoznaczne wnioski. Z drugiej jednak strony dochodzą do nas informacje od większych pracodawców o zamrożeniu, np. premii czy z też o ograniczeniu produkcji w legnickiej strefie ekonomicznej - zwłaszcza w firmach produkujących na potrzeby branży samochodowej. Pracodawcy nauczeni doświadczeniem, jak trudno było ostatnio pozyskać pracowników, jakie koszty trzeba było ponieść przy ich zatrudnieniu i przeszkoleniu, nie powinni jednak pochopnie podejmować decyzji o zwolnieniu z pracy.

Zły ekonomista widzi tylko to, co bezpośrednio uderza wzrok

Wbrew temu, co kreują media, uważam, że obecna sytuacja niesie za sobą więcej szans niż zagrożeń. Nie oznacza to, że powinniśmy beztrosko przyglądać się temu, co dzieje się wokół, ale nie demonizujmy! Jeżeli daliśmy sobie radę kilka lat temu, gdy rokowania nie były aż tak optymistyczne, tym bardziej poradzimy sobie teraz, gdy mamy znacznie więcej atutów w rękach. Ciężkie chwile przeżywają kredytobiorcy, którzy zaciągnęli kredyt w walucie obcej, Jedyna rada - przeczekać. Obecny niski kurs złotego nie ma podstaw ekonomicznych, więc należy uważać go (tak jak kilka lat temu) za coś przejściowego. Realna wartość złotego osadzona na porównywalnych koszykach dóbr oscyluje wokół wartości 3,60 – 4,00 zł za jedno euro i prędzej czy później do tej wartości powinien złoty wrócić – ku uciesze importerów i kredytobiorców i ku utrapieniu eksporterów oraz rodzimej branży turystycznej a przede wszystkim rolników. Jeżeli do tego dodamy środki unijne, które mają wspomóc szereg inwestycji w Polsce – w tej chwili jest ich prawie o 50% więcej niż przed rokiem. Czy pamiętacie ten płacz i zawodzenie, gdy jeszcze nie tak dawno ubolewano, że jedno euro dotacji to tylko 3,20 zł? Za optymistycznym podejściem do sprawy przemawia niewykorzystany do końca potencjał rodzimej konsumpcji. To, że nawet w okresie największej prosperity w znacznie mniejszym stopniu byliśmy uzależnieni od eksportu niż inne państwa. Straszą nas rzeszą powracających, bezrobotnych rodaków – przy takim przeliczniku waluty? Myślę, że należy wątpić. To, na co wielu ekonomistów zwraca uwagę, to w miarę zdrowy system bankowy w Polsce, nieobarczony w tak wielkim stopniu, jak w krajach większego dobrobytu, kredytami konsumpcyjnymi.

Ważne jest, aby niepokój, jaki wzbudzają napływające zewsząd informacje, wykorzystać w zdrowy dla nas sposób – jako dodatkową motywację do działania.

Robert Pawłowski
Aktualne dane z Powiatowego Urzędu Pracy pozyskała Agnieszka

Miejsca, których nie ma

W grudniowym i styczniowym numerze *Echa Złotoryi* zaprezentowaliśmy naszym czytelnikom kilka kultowych miejsc dawnej Złotoryi. Teraz, nawiązując do poprzedniego tekstu, przedstawiamy kolejne lokale, tym razem gastronomiczne, które z sentymentem wspominają mieszkańcy naszego miasta.

Cukiernia U Studenta

Wielu mieszkańców Złotoryi wciąż ma zachowane w pamięci wspomnienia dotyczące miejsc, gdzie chętnie spędzali czas jako dzieci, nastolatkowie. Miejsc, które dzisiaj już nie istnieją. Do jednych z nich należy funkcjonująca w latach pięćdziesiątych „Cukiernia u Studenta". Mylna jest jednak jej nazwa, gdyż jak się okazało, nie była ona miejscem głównie dla studentów, a jej miano pochodziło od nazwiska właściciela.

Jak to miejsce zapisało się w pamięci mieszkańców Złotoryi: *Cukiernia u Studenta? Ach tak, tak pamiętam! Były tam najlepsze napoleonki w całym mieście. Bywało, że chodziłem tam nawet kilka razy dziennie.*- mówi jeden z mieszkańców. Jak się później okazało, oprócz napoleonek, cukiernia ta słynęła także z innych równie przepysznych wypieków- *Oczywiście, że pamiętam. Na każde święta wraz z mamą zamawialiśmy w niej tort. Byliśmy wiernymi klientami tego miejsca. Dopóki cukiernia nie została zamknięta, z całą rodziną delektowaliśmy się jej smakołykami* - wyznała kolejna z zapytanych osób. Dziś właściciel tej słynnej cukierni jest mieszkańcem Legnicy, a inny sklep ze słodkościami należy do jego rodziny.

Obecnie w miejscu cukierni *U Studenta* przy ulicy Chopina funkcjonuje mały sklep obuwniczy.

Katarzyna Ogarek, Dominika Dawid, Paulina Wojciukiewicz

Bolek i Lolek

W dzisiejszych czasach jest niewiele miejsc, gdzie można w spokoju usiąść i zjeść słodkie co nieco. W latach 80. głównym miejscem spotkań ówczesnej młodzieży była kawiarenka *Bolek i Lolek.* Obecnie w tym miejscu znajduje się sklep *Wedan.* My, jako młode pokolenie, nie pamiętamy tego lokalu, jednak nasi rodzice i ich znajomi mile wspominają *Bolka i Lolka.* Był to przytulny lokal. Już od wejścia witał klientów aromatyczny zapach kawy. Stało tam kilka stolików, przy których zawsze siedzieli młodzi ludzie. Każdy mógł znaleźć tam coś dobrego dla siebie. Można było zamówić: kawę mrożoną, różne koktajle owocowe (bezalkoholowe), świeże soki (szczególnym zainteresowaniem cieszyły się marchwiowe), lody i inne smakowite desery z galaretką, na widok których każdemu ciekła ślinka. Napotkani przechodnie wspominają, jak chodzili do *Bolka i Lolka* na wagary, po treningach, po lekcjach. Największy ruch był w weekendy. Jako że był to niewielki lokal, większa grupa znajomych musiała łączyć kilka stolików. Kawiarnia została zamknięta pod koniec lat osiemdziesiątych.

Obecnie młodzież kończąc zajęcie lekcyjne, w oczekiwaniu na autobus, wałęsa się bezczynnie po mieście. Gdyby teraz pojawił się taki *Bolek i Lolek*, nasi rówieśnicy mogliby umilić sobie czas szklanką witaminowego koktajlu lub kalorycznym deserem.

Marzena Hallada i Aneta Radkiewicz
opracowała Iwona Pawłowska

4 marca 2009 r. o godz. 17.00 w Muzeum Złota (Katownia) Andrzej Frąckiewicz będzie opowiadać o swojej wyprawie do Norwegii, o której można było przeczytać w 37 (12/2008) numerze Echa Złotoryi.

Zapraszamy na otwarcie wystawy Romualda Napiórkowskiego "Ziemia złotoryjska w rysunkach", które odbędzie się 19 marca 2009 roku w siedzibie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej ul. Szkolna 1.

Kłopot z głowy

Od ośmiu lat mamy już XXI wiek. Technika rozwinęła się do niebotycznych granic, lecimy na wycieczki turystyczne w kosmos, satelity krążą wokół naszego globu, firmy kosmetyczne rywalizują między sobą, na półce każdego niemalże sklepu mydeł i szamponów jest całe mnóstwo. Komputery są elementem codziennego życia, ale w kwestii wszawicy i świerzbu w niektórych środowiskach czas jakby się zatrzymał.

Każdy z nas był uczniem szkoły podstawowej i miał swoją przygodę z pasożytem – wszą głowową. Opowieść zaczynałaby się tak… - kiedy chodziłem (łam) do podstawówki, złapałam(łem) w szkole wszy, w zależności od długości włosa więcej lub mniej było do czyszczenia, mama siedziała nad głową i ściągała gnidy z włosów, zlewała włosy preparatem octowym i od nowa czyściła. Czy brakowało mydła i wody? Może i tak!

Wesz to pasożyt głowy, jak każdy przedstawiciel swego gatunku dba o potomstwo, składając na włosach mały kokonik, przypominający łupież, z tą różnicą, że płatek łupieżu spada z włosa a gnidę trzeba ściągać paznokciami, tak mocno się trzyma.

Wszawica rozwijała się w środowiskach zaniedbanych higienicznie, krótko mówiąc u brudasów. Najgorsze, że wszy uwielbiają zdrowe włosy, więc zagnieżdżiła się na brudnych włosach, do czystych włosów przemieści się bez trudu. Z e zjawiskiem wszawicy spotkałam się na oddziale szpitalnym, a teraz w środowisku szkolnym. Dzieci ze szkoły podstawowej przechodzą do gimnazjum a stamtąd do szkoły zawodowej lub średniej, przenosząc wszy. Sprawdzam włosy uczniom i dochodzę do wniosku, że nic się nie zmienia. Te same głowy są bogate w gnidy. Chłopcy mają więcej szczęścia, ich zbyt krótkie włosy, nie pozwalają gnidom się zagnieździć. Z uwagi na prawa dziecka nikt nie może bez zgody rodziców naruszać jego prywatności, więc problem jest jakby nie do rozwiązania. Jeśli rodzice pozwalają na to, aby wszy gryzły ich dzieci, to współczuję dzieciom, ale spróbujmy uchronić zdrowe, czyste włosy. A oto kilka uwa

Wesz głowowa składa jaja zwane gnidami, przymocowane do trzonu włosa bardzo blisko skóry głowy. Leczenie należy zacząć od zabicia dojrzałej wszy szamponem lub preparatem przeciw wszom, dokładnie przestrzegając zaleceń producenta. Następnie, używając grzebienia o gęstych zębach, wyczesujemy gnidy przytwierdzone do włosów. Między zęby grzebienia utkamy watę(dokładniej ściąga gnidy).Rozdzielamy włosy na pasma i starannie rozczesujemy od podstawy do koniuszka. Często oczyszczajmy grzebień. Po tej czynności martwe gnidy ściągajmy jedna po drugiej. I tu życzę cierpliwości w mozolnej pracy. Radykalnym sposobem na wszy jest ścięcie włosów. Jeśli nasze pociechy uczęszczają do szkoły, profilaktycznie radzę zastosować naftę kosmetyczną zakupioną w aptece lub w perfumerii. Ważna jest kontrola włosów przynajmniej raz w miesiącu. Jak się można ustrzec w inny sposób? To proste! Nie korzystamy z cudzych grzebieni, gumek, wsuwek, czapek, przepasek na włosy. Zasady tej należy zawsze przestrzegać.

Według Encyklopedii Zdrowia świerzb to zakaźna choroba. Świerzbowiec drążąc nory i korytarze w skórze składa jaja. Ten proces powoduje swędzenie, a co za tym idzie, dzieci drapią się zostawiając zadrapania w takich miejscach jak boczna powierzchnia palców rąk, w okolicy nadgarstka, w fałdach pachowych, w zgięciach łokciowych, w okolicy pępka, na pośladkach.

Piszę o tym, dlatego, że to następna pułapka czyhająca na nasze dzieci w dużych skupiskach ludzkich np. w szkole.

Jak się można zakazić? Zakażenie następuje przez podanie ręki, spanie w tej samej pościeli, bieliznę, gdy chora skóra styka się ze zdrową skórą. Szerzenie się świerzbu zależy od stanu higieny osobistej i higieny pomieszczenia. Jeśli jedna osoba w rodzinie ma świerzb, powinna leczyć się cała rodzina. Lekarz przepisuje maści, kremy dla całej rodziny. Pościel i bieliznę należy wygotować w 90 stopniach Celsjusza. Aby załagodzić swędzenie, można zażyć kąpieli z płatków kukurydzianych lub krochmalu kukurydzianego. Apel do każdego rodzica: Kontrolujmy czystość naszych dzieci, ich włosy i skórę.

Jana Kaluża

Pogromcy bakterii

Budynek Sanepidu

Budynek z czerwonego klinkieru stojący przy ruchliwej ulicy Stanisława Staszica był przed dziesiątkami lat własnością sióstr z zakonu elżbietanek, dziś tym samym miejscem i pracującymi tu 36 osobami (w przeważającej większości kobietami) zarządza (nomen omen) Elżbieta Burzyńska – Charytoniuk, od 3 lat dyrektor Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, potocznie zwanej sanepidem.

Z czym kojarzy się sanepid? Wielu z nas – na pewno z restrykcyjnością, mandatami, interwencjami i utrudnianiem życia przedsiębiorcom branży spożywczej. Jak wyglądają fakty? Postanowiłam to sprawdzić i ujawnić naszym czytelnikom.

Ewa Cwynar

Kiedy odwiedzam złotoryjski sanepid, właśnie trwają gorączkowe przygotowania do kolejnego już w historii placówki audytu, który będzie w marcu i powinien potwierdzić doskonałą gotowość laboratoriów i laborantów do wykonywania ich zadań. A nadrzędnym zadaniem, jakie realizuje sanepid. jest ogólnie pojęta ochrona zdrowia publicznego. W ramach działalności statutowej inspektorzy przeprowadzają rozmaite kontrole, a pełniąc usługi dla mieszkańców powiatu, wykonują szczepienia nieobowiązkowe (zalecane). Najczęściej są to szczepienia przeciw wirusowemu zapaleniu wątroby, meningokokom lub grypie. Nie można jednak w Złotoryi przyjąć szczepionki uodporniającej na choroby egzotyczne. Tym zajmuje się oddział we Wrocławiu. *U nas jest małe zainteresowanie tym rodzajem usługi i nie opłaca się magazynowanie szczepionek* – wyjaśnia dyrektor Charytoniuk. *Ale namawiam do korzystania ze szczepień przeciw grypie* – dodaje. Dwa razy w tygodniu (we wtorki i piątki) w sezonie profilaktyki przedgrypowej i raz w tygodniu przez pozostały okres czynny jest punkt szczepień, w którym przyjmuje lekarz. To on decyduje, czy iniekcja jest możliwa. Preparaty są dostępne na miejscu, nie trzeba ich kupować w aptekach. Koszt profilaktyki jest zdecydowanie niższy (około 30 złotych) niż wizyta u lekarza w przypadku choroby i wykup leków czy też utrata części wynagrodzenia, kiedy doktor wypisze L4. Niby wszystko jest takie oczywiste, ale mieszkańcy Złotoryi i okolic nie korzystają masowo ze szczepień, jakie oferuje nasz sanepid. W ubiegłym roku tylko około 300 osób przyjęło szczepionkę przeciw grypie, przy czym dwa lata wcześniej wykonano ponad 1000 tego typu usług. Pracownicy sanepidu i ich rodziny korzystają ze szczepień chętniej. Dyrektor Charytoniuk wyjaśnia: *szczepienie nie chroni w pełni przed grypą, ale na pewno łagodzi objawy choroby i nie dopuszcza do powikłań*. Kiedy szukam uzasadnienia spadku zainteresowaniem szczepieniami, pani dyrektor sugeruje, że malejąca liczba chętnych do skorzystania z profilaktyki wynika prawdopodobnie z faktu, iż sama szczepionka wywołuje reakcje obronne organizmu, które przypominają objawy grypy. To jest pewien dyskomfort dla człowieka. Poza tym dawno nie było u nas epidemii, więc ludzie nie czują potrzeby zapobiegania chorobie.

* * *

Rozmawiamy w momencie, kiedy media donoszą o rosnącej liczbie zachorowań na grypę. Mam więc okazję u źródeł zasięgnąć informacji, czy grozi nam epidemia i w jakiej sytuacji jest ona ogłaszana. Wszelkie dane o przypadkach grypy na terenie miasta i powiatu powinny spływać do sanepidu. Powinny. Ale czy tak jest? Problem polega na tym, że lekarz w ośrodku zdrowia nie ma stuprocentowej pewności, czy pacjent z gorączką, kaszlem, katarem i bólem mięśni jest faktycznie zarażony grypą. Dla jasności sytuacji powinien zlecić badania wirusologiczne. Kto to robi? Nikt. Dlaczego? Nie ma czasu, funduszy, a może nawet dobrej woli. W związku z tym dane, które pojawiają się w sanepidzie, nie są niczym potwierdzone. Mówi się zatem o infekcjach grypopodobnych, a nie o grypie. Nie ma więc powodu, by ogłaszać epidemię. Przecież taka decyzja pociągnęłaby za sobą kolejne kwoty wydane przez państwo na ograniczenie skutków epidemii. Niestety, sanepid nie może nic z tym problemem zrobić.

* * *

Nie tylko grypą czy szczepieniami zajmują się pracownicy PSSE. W złotoryjskim sanepidzie jest Oddział Laboratoryjny, który przeprowadza badania fizyko-chemiczne (najczęściej wody) oraz bakteriologiczne (również wody, ale też materiału ludzkiego). Jest też sekcja próbkobiorców, czyli pracowników przeprowadzających kontrole w terenie i, jak sama nazwa wskazuje, pobierających próby do analiz. Wszystkie badania o charakterze interwencyjnym są bezpłatne, jednak jeśli ktoś na własny użytek zleca diagnozę, np. wody z prywatnej studni, wtedy płaci z usługę.

Zastanawia mnie, jak p. dyrektor odnosi się do faktu, że społeczeństwu, a szczególnie pracodawcom, sanepid zazwyczaj źle się kojarzy. *Ludzie nie lubią sanepidu, bo nie rozumieją, jaki jest zakres działań inspekcji sanitarnej Przedsiębiorcy myślą, że sanepid jest po to, by ich gnębić, ale nie zdają sobie sprawy, że wyroby, które wychodzą z ich zakładu, mają służyć ludziom i zdrowiu. Pracodawca ma obowiązek również chronić swoich pracowników, dbać, by nie odnieśli uszczerbku na zdrowiu. I właśnie sanepid nad tym czuwa* – wyjaśnia p. Charytoniuk. Nie ma co się oszukiwać – nikt nie lubi kontroli. Dlatego inspektorzy, pracujący w terenie, spotykają się z rozmaitymi reakcjami kontrolowanych. Najczęściej widzą strach w oczach lub irytację (*znowu tu czegoś szukają*), ale zdarza się też postawa otwarta na współpracę. *Tym bardziej, że naprawdę nie ma czego się bać* – zapewnia dyrektor. *Nasi pracownicy nie idą na kontrolę z myślą, że muszą coś znaleźć. Jeśli widzimy jakieś niedociągnięcia, usterki, nie zawsze karzemy mandatem, tylko ustalamy z pracodawcą termin usunięcia wad. Dopiero kiedy po upływie tego terminu nie widać poprawy, wtedy stajemy się restrykcyjni*. W 2007 roku złotoryjski sanepid nałożył 13 mandatów, w 2008 – 15. Najwyższe kwoty kary to najczęściej do 200 złotych, mimo że prawo pozwala inspektorom na nałożenie nawet pięćsetzłotowych mandatów. Pieniądze z mandatów trafiają do budżetu i sanepid nie ma z tego żadnego zysku. Nie ma też premii dla najskuteczniejszych inspektorów.

Podłoże namnażające

Sanepid współpracuje miedzy innymi z policją. Jako że pracownicy tej instytucji nie mają prawa zatrzymywać pojazdów do kontroli, a wiele aut dostawczych przewozi żywność (stanowi potencjalne zagrożenie sanitarne), wtedy konieczne jest współdziałanie ze służbami mundurowymi. Częściej jednak powiatowi inspektorzy współpracują z weterynarią. Dzieje się tak między innymi w przypadku pogryzienia przez psa czy inne zwierzę. Wtedy inspektor weterynaryjny bierze na obserwację winowajcę(?), a sanepid pod swoją opiekę ofiarę agresora. Trzeba wykluczyć lub potwierdzić wściekliznę. Przypadki pogryzienia przez psa zdarzają się w Złotoryi i okolicach dość często. Każde pogryzienie powinno być zgłoszone lekarzowi, nawet jeśli stanie się to z winy naszego pupila. Lekarz informuje o tym fakcie sanepid, a sanepid weterynarię. Problemem w tym wszystkim jest ustalenie, czy pies ma właściciela, jeśli tak, to gdzie go szukać. Wtedy konieczny jest wywiad środowiskowy, który przeprowadzają pracownice sanepidu. Na szczęście w ostatnich latach nie odnotowano żadnego przypadku pokąsania człowieka przez chore na wściekliznę zwierzę. Weterynaria wspomaga również sanepid w przypadku zatruć środkami spożywczymi pochodzenia zwierzęcego.

Laboratorium

* * *

Skoro rozmawiamy o zatruciach, nie sposób nie zapytać o grzyby i skutki ich nieumiejętnego rozróżniania. Sanepid złotoryjski od ubiegłego roku może służyć radą dla wszystkich zbierających lub kupujących te przysmaki. Kiedy nie wiemy, czy to, co znajduje się w naszym koszyku po grzybobraniu, nadaje się do jedzenia, a nie trucia męża/żony, możemy zasięgnąć opinii wykwalifikowanego grzyboznawcy. W naszym sanepidzie osobą, która ma takie kwalifikacje, jest Ewa Cwynar (główny specjalista ds. jakości), jedyny w powiecie ekspert z certyfikatem. Rozpozna ona każdy jadalny, dopuszczony do obrotu grzyb. A jest ich 48!

Pani Cwynar radzi: *kupując grzyby, należy zwracać uwagę na to, aby nie były sprzedawane w kawałkach, lecz w całości, ponieważ wtedy możliwa jest ich identyfikacja.* Ważne jest też miejsce zbierania grzybów. Są one bardzo chłonne i pobierają szkodliwe substancje z powietrza lub gleby, a niestety najpopularniejsze miejsca, które nawiedzamy podczas grzybobrania, to okolice autostrad. Możliwe, że nawet jadalne grzyby wtedy działają na nas jak trucizna. W sezonie inspektorzy odwiedzają targowiska, na których oferuje się grzyby, jednak takie kontrole nie odbywają się codziennie. Poza tym, kiedy kontrola się rozpoczyna, sprzedawcy szybko znikają z pola widzenia inspektorów. Przypomina to zabawę w kotka i myszkę. Dopiero kiedy wydarzy się tragedia, zacznie się szukanie odpowiedzialnych za taki stan rzeczy. Trudno walczyć ze sprzedawcami, więc lepiej edukować kupujących. Ewa Cwynar planuje, by w październiku urządzić wystawę w sanepidzie (lub nawet w szkołach), na której zaprezentuje rozmaite odmiany grzybów jadalnych i niejadalnych lub trujących. Czeka już z niecierpliwością na sezon, by zabrać się do kompletowania zbiorów.

Złotoryjska placówka ma dobrą markę w całym regionie. Badania właściwości fizyko-chemicznych i bakteriologicznych wody tu wykonywane są rzetelne i porównywalne z tymi z największych laboratoriów w kraju. Nic dziwnego, że nasz sanepid otrzymuje zlecenia nie tylko z powiatu, ale i okolic, np. Świeradowa, Bolesławca. Skoro panie pracujące na co dzień z wodą mają takie doświadczenie, pytam o złotoryjską kranówkę. Jak to jest z jakością naszej wody? *Mamy bardzo dobrą wodę. Nikt nie powinien wybrzydzać. Wystarczy wypić herbatę w Legnicy czy we Wrocławiu, by poczuć różnicę. Skład złotoryjskiej wody z ujęcia w Nowej Ziemi jest porównywalny do składu wody mineralnej. Nie zawiera za dużo sodu, jest miękka [Calgonu nie musimy stosować – dop. I. P.J. Były nawet zamysły, by naszą wodę wywozić do Holandii i tam ją butelkować jako mineralną. W każdym razie niepotrzebne nam są filtry do wody, bo można bez problemu pić ją prosto z kranu. Nasza woda nie potrzebuje uzdatniania* – wyjaśnia Maryla Jarkiewicz, kierownik Oddziału Laboratoryjnego. Skąd zatem zapach chloru? Według p. Jarkiewicz dawki tego pierwiastka są naprawdę minimalne. Dodawanie chloru do wody występuje sporadycznie, choć ostatniego lata zdarzało się częściej ze względy na prace prowadzone w rynku, polegające na wymianie rur wodociągowych. Zawsze w takim przypadku należy profilaktycznie chlorować wodę. *Złotoryjanie bardzo szybko wyczuwają chlor, bo nie są do niego przyzwyczajeni, rozpieszczeni jakością kranówki* – śmieje się kierowniczka, prywatnie mieszkanka Legnicy, gdzie o takiej wodzie można tylko pomarzyć.

Dyrektor PSSE Elżbieta Burzyńska - Charytoniuk

Nie powinniśmy tez narzekać na wodę w kąpielisku miejskim. Stan sanitarny sprawdzany jest tam w sezonie raz na dwa tygodnie. Natomiast zakaz kąpieli latem w złotoryjskim zalewie nie wynikał z interwencji sanepidu, lecz zarządcy akwenu. Trudno utrzymać właściwy stan wody w zalewie, gdy dno jest muliste a sam zbiornik bardzo płytki.

Laboratorium

* * *

Z sanepidem mamy do czynienia, kiedy lekarz podejrzewa u nas, np. salmonellę. Laborant w pracowni bakteriologicznej dostaje wtedy próbkę naszych ekskrementów i na podstawie badań potwierdzi lub wykluczy chorobę. Zanim się to stanie, potrzeba czasu i cierpliwości. Jeśli nie jesteśmy nosicielami i ofiarami salmonelli, dowiemy się o tym już po dwudniowym badaniu. Jak to wszystko wygląda? Próbkę kału posiewa się na odpowiednie podłoże namnażające. Jeśli nie mamy salmonelli, nic na płytce nie wyrośnie i możemy ze spokojem ducha kontaktować się z innymi ludźmi. Gorzej jeśli bakterie się namnożą. Wtedy izoluje się ich rozmaite szczepy i określa rodzaj na podstawie specyficznych cech (barwy, rodzaju ulubionego podłoża itp.). Rozczarowuje mnie fakt, że laboranci nie oceniają typu bakterii na podstawie obserwacji mikroskopowej – z czym zawsze kojarzyła mi się praca w sanepidzie. Teraz przeprowadza się badania biochemiczne. One dają informację o typie bakterii. Kiedy już wiemy, co nam dolega, trzeba określić, które leki będą skuteczne w zwalczaniu choroby. Tu znowu pomocą służą laboranci. Robią antybiogram, czyli test, na jakie antybiotyki jest wrażliwa konkretna bakteria. Tak naprawdę leczenie „w ciemno" czy „na własną rękę" może wyrządzić nam tylko szkodę. Najlepiej poczekać na wynik. Niestety trwa to około trzech dni. A w tym czasie salmonella odbiera nam chęć do życia, na szczęście - nie samo życie (jak twierdzą moje rozmówczynie). Złotoryjskie laborantki są nie tylko pogromczyniami salmonelli, niestraszna im też shigella, a niedługo i yersina czy legionella.

* * *

Wydaje się, że obcowanie z takim przeciwnikiem, jak bakteria, naraża laborantów na niebezpieczeństwo. Jak pracownicy bakteriologii chronią się przed ewentualnym zakażeniem? *Przede wszystkim poziom ich wiedzy sprawia, że świadomie stosują środki ochrony. Pracują w rękawiczkach jednorazowych, maseczkach, kiedy trzeba nawet w okularach. Używają płynów bakteriobójczych, takich jak w salach operacyjnych* – uspakaja mnie kierownik laboratorium. W pomieszczeniach zamontowane są też lampy bakteriobójcze Praktycznie przy zachowaniu tych środków ostrożności nie może dojść do zakażenia się laboranta. Po badaniu cały sprzęt poddawany jest dezynfekcji. Coraz częściej stosuje się jednak jednorazówki. Jest tyle etapów zabezpieczeń, że nikomu nic nie powinno się stać. *Mamy naprawdę odpowiedzialnych i doświadczonych pracowników* – zapewnia Maryla Jarkiewicz, puentując naszą rozmowę.

Iwona Pawłowska
Zdjęcia: Ryszard Masłowski

Maryla Jarkiewicz

Jerzmanice Zdrój cz. I

CUDZE CHWALICIE - SWEGO NIE ZNACIE

Jerzmanice-Zdrój to jedna z najstarszych i najatrakcyjniej położonych miejscowości Dolnego Śląska. Znany jest przypadek, że pewna turystka jadąc na wczasy do miejscowości uzdrowiskowych, urzeczona urodą Jerzmanic-Zdroju, wysiadła na przystanku w tej wsi. Niegdyś piękno Jerzmanic-Zdroju można było obserwować z wysokości Wilczej Góry, ze znajdującego się na szczycie schroniska tarasu widowiskowego. Jerzmanice-Zdrój, jak większość dolnośląskich wsi, są ulicówką; w środku wsi stoi kościół i szkoła. W tradycji miejscowości uchwala się podział na Jerzmanice górne, dolne, a nawet środkowe.

ZARYS DZIEJÓW

Wieś i jej okolice są terenem wczesnego osadnictwa. Znaleziska archeologiczne potwierdzają pobyt człowieka na tym obszarze już w okresie neolitu. Z tego okresu pochodzą toporki, siekierki i motyka kamienna. Z epoki brązu pochodzi znany skarb z Podgórnika. Istnieje przypuszczenie, że w środkowym okresie brązu w okolicy założono cmentarzysko ciałopalne. Pewne elementy wykopalisk zdają się potwierdzać tezę o pobycie człowieka z okresu kultury łużyckiej. Odkryty stosunkowo wcześnie złotonośny obszar między Jerzmanicami, Sępowem oraz Nową Ziemią spowodował napływ i osiedlanie się ludzi już we wczesnym średniowieczu (VI do XI/XII). Z tego okresu pochodzą elementy naczyń ceramicznych. Nie można wykluczyć, że już Trzebowianie (IX/X) poznali się na walorach tej ziemi i rozpoczęli poszukiwanie (wypłukiwanie) złota.

Jerzmanice-Zdrój swoją pierwotną nazwę zawdzięczają najprawdopodobniej swojemu założycielowi. Był to najpewniej zasadźca (założyciel) tej wsi, który później został pierwszym sołtysem, a na imię miał Hermann. Jest to więc nazwa rodowa (podobnie jak w przypadku Ernestynowa i Gieraltowca). Po raz pierwszy miejscowość wymieniono w źródłach w roku 1253 jako „Hermanstorph". Kolejne nazwy brzmiały podobnie, lecz pisownia ich nieco się różniła. I tak: 1364 – Hermansdorf, 1443 – Hermannsdorf, 1668 – Hermansdorff, 1726 – Ober-Nieder Hermansdorff, 1816 – Goldbergische Hermsdorf, 1825 – Goldbergisch Hermsdorf, 1881 – Bad Hermsdorf, 1918 – Hermsdorf am Katzbach. Mnogość nazw miejscowości nie zawsze musi być rezultatem zaplanowanego przedsięwzięcia. Często jest to wynik wykształcenia (także słuchu!) konkretnych skrybów, pisarzy, którzy opracowują dany dokument. Po II wojnie odnotowano trzy nazwy: 1945 – Hermanowice, Radosna, 1947 – Jerzmanice Zdrój.

Do Jerzmanic-Zdroju należy zgodnie z uchwałą Rady Gminy Podgórnik (Seiffenau), którego nazwa ma już w tej chwili tylko historyczno-topograficzne znaczenie. A szkoda! Szkoda też Czeszkowa, Czortkowic, Łaźniczek…

W zarysie dziejów Jerzmanic-Zdroju uwzględnimy przynajmniej te epizody, które w rozwoju wsi odegrały istotne znaczenie. Dokładnie nie wiadomo, kiedy wieś powstała. Istnieją wzmianki, że mogło się to stać już w pierwszej połowie XIII wieku, a więc należałoby powstanie miejscowości i jej rozwój wiązać z eksploatacją piasków złotonośnych. Jeśli tak było, to okolicę dotknął również zastój związany z klęską w bitwie z Mongołami w roku 1241. Z tej tragedii wieś i okolice musiały się dość szybko podnieść, jeśli prawdziwa jest informacja z roku 1268, że kapitule katedry wrocławskiej Jerzmanice regularnie wpłacają dziesięciny. Z roku 1330 pochodzi informacja, że niejaki Franczco kupił od Złotoryi Seiffenau (Podgórnik), który po jego śmierci przypadł szpitalowi św. Ducha. Miejscowość występuje jeszcze w dokumencie biskupa wrocławskiego z 1339 roku. Bardzo wcześnie potwierdzone jest istnienie młyna we wsi – musiał on zatem należeć do ważniejszych w okolicy. Także z XIV wieku pochodzi wzmianka, że młyn z Jerzmnic (i Podgórnika) opłaca czynsz na rzecz szpitala św. Elżbiety w Złotoryi. Fakty świadczą o tym, że tradycja udzielania pomocy szpitalowi ze strony młynarza Willenberga z Jerzmanic utrwaliła się, skoro jeszcze w roku 1497 tenże młyn przekazywał rocznie 18 funtów oleju na pomoc biednym i chorym z tego szpitala.

Prawdopodobnie już w XV wieku pojawiają się w miejscowości pierwsi przedstawiciele, znanej później szeroko na Śląsku, rodziny Bock. Nie jest to pewne, natomiast pewna jest data 1541, kiedy to Albrecht Bock wybudował pierwszy pałac rodowy. Nieco później pojawi się kolejna rodzina, która odciśnie również wyraźne piętno na rozwoju i historii tej wsi – rodzina Schindel.

Bliskość Nowego Kościoła, w jakimś sensie kolebki reformacji na Ziemi Złotoryjskiej spowodowała, że reformacja w Jerzmanicach przyjęła się dość wcześnie: oficjalnie podawana jest data 1527, lecz kazania kaznodziei protestanckich były głoszone w Jerzmanicach niewątpliwie wcześniej.

Wiek XVI zapisał się w historii Ziemi Złotoryjskiej również tragicznym przebiegiem epidemii cholery. Szczególnie dotkliwie odczuły to większe skupiska ludzkie, a do takich należało miasto Złotoryja, w której odnotowano prawdopodobnie aż 2500 ofiar. Z całą pewnością zaraza objęła także Jerzmanice-Zdrój. O skali katastrofy demograficznej może świadczyć fakt, że – jak podaje było mieszkanka Jerzmanic-Zdroju, Ruth Hankowiak (1996) – „W obrębie Jerzmanic-Zdroju znajdowało się pole, które w tradycji ustnej określano jako <pole zarazy> (Pest-Acker). Na tym polu grzebano zmarłych na cholerę w XVI w. złotoryjan". Zdaniem autorki listu, pole to mogło znajdować się, jadąc od strony Złotoryi do Jerzmanic-Zdroju, po lewej stronie na zboczu prowadzącym na Wilczą Górę.

Kolejnym żywiołem, który dawał się we znaki, była Kaczawa. Jest to niewątpliwie życiodajna rzeka, lecz w okresie powodzi potrafi być niezwykle groźna. Toteż już w XVI wieku próbowano ją okiełznać. Miał temu służyć jaz na Kaczawie, wybudowany w 1584 roku. Inną bardzo ważną inwestycją, podjętą pod koniec wieku (1599) było wybudowanie młynówki, która brała początek w północnej części Jerzmanic. Młynówka doprowadzała wodę do młyna Willenbergów. Najtragiczniejsze żniwo powódź zebrała w roku 1608; w Jerzmanich odnotowano aż 84 śmiertelne ofiary. Kolejne nieszczęścia sprowadził na Jerzmanice i Ziemię Złotoryjską sam człowiek. Bardzo boleśnie odczuli jerzmaniczanie przebieg wojny trzydziestoletniej (1618 - 48). Już sam czas jej trwania oznacza, że jedno całe pokolenie rodziło się i umierało w czasie wojny. Do tego doszły ogromne zniszczenia spowodowane już to pobytem wojsk, już to działaniami wojennymi. Pocieszającą wiadomością dotyczącą tego wieku jest niewątpliwie działalność kamieniołomu, który znajdował się w pobliżu Kruczych Skał, naprzeciw dworca PKP. Musiał to być dobrej jakości piaskowiec, skoro materiał wykorzystywano do budowy kościoła św. Elżbiety we Wrocławiu; także ratusz wrocławski wykonano częściowo z piaskowca jerzmanickiego. Na Kruczych Skałkach odkryto skamieliny muszli Exogyra columba i Pecten cretacea.

Także wiek XVIII i XIX nie oszczędziły Jerzmanic. Stało się to za sprawą dwóch wybitnych w historii postaci. Fryderyk II, król pruski, rozpętał wojnę z Austrią i odebrał cesarzowej Austrii, Marii Teresie, Śląsk - ten drogocenny klejnot w jej koronie. Stało się tak jednak w wyniku długoletnich wojen (1740-63). Nie mniej cierpień i zniszczeń przysporzył Napoleon Bonaparte, któremu zamarzyło się opanowanie całej Europy, a w drodze po planowane zwycięstwo nad Rosją musiał przejść przez Śląsk. Ten marsz na wschód nie był jeszcze tak uciążliwy, lecz powrót, a faktycznie ucieczka stamtąd, były zarówno dla „cesarza Francuzów" jak i dla Śląska upokarzające i niszczące. Wieś odczuła to bardzo boleśnie, w tym także jerzmanicka świątynia. Od strony Jerzmanic Francuzi przeprowadzili atak w kierunku Wilczej Góry. Ciągłe kłopoty z Kaczawą spowodowały, że w roku 1794 wybudowano drogę, która rozpoczynała się od Bramy Solnej, prowadziła ulicą Kolejową przez kamienny most na Kaczawie, do jerzmnickich pól. W ten sposób Kaczawa pozostawała po lewej stronie.

Z czasów pruskich pochodzą pierwsze dokładne statystyki, m. in. dotyczące liczby ludności. W roku 1786 w Jerzmnicach zamieszkiwało 486 osób. Wieś z pewnością nie należała do biednych – raczej była zamożna. Pośrednio może o tym świadczyć, że są tu w tym czasie trzy gospody – wszystkie o wielkiej renomie, np. tzw. „zamek leśny" (Waldschloss), do którego zjeżdżali goście z odległych okolic. Obiekt ten istnieje nadal i służy obecnie jako mieszkania – znajduje się na skrzyżowaniu dróg prowadzących od Złotoryi do Świerzawy i Jerzmanic-Zdroju (budynek nr 5). Znana była także restauracja „Pod koniem" (Zum Goldenen Ross), wzmiankowana w roku 1822 (obiekt już nie istnieje, znajdował się na skrzyżowaniu dróg ze Złotoryi do Pielgrzymki, po lewej stronie). Trzecia gospoda była tzw. „karczmą sądową" (Gerichtskretscham). W takiej karczmie w określone dni sołtys ze swoją ławą odbywał posiedzenia i wyrokował w sprawach, które mu podlegały. Taka Gerichtskretscham w Jerzmanicach znajdowała się w części budynku, w którym znajdowała się świetlica wiejska (obiekt po byłym PGR).

W roku 1789 przekaz dotyczący wsi mówi o istnieniu pałacu, dwóch folwarków, kościoła ewangelickiego z pastorówką, młyna wodnego, karczmy, kuźni, i 98. budynków mieszkalnych. Mieszkańcy, oprócz zajęć w rolnictwie, produkowali płótno dla manufaktur w Złotoryi.

Po wojnach napoleońskich liczba mieszkańców wsi wzrosła: 1816r. – 580 mieszkańców. Wyjaśnienie może być takie, że również po wojnach napoleońskich rządy pruskie wzięły ostry kurs na modernizację gospodarki i życia społecznego. Skutkowało to nowymi inwestycjami. Obok działającego już kamieniołomu, w miejscu obecnego Zakładu Poprawczego, powstała wykańczalnia sukna, być może z wykorzystaniem młyna. Obydwa te zakłady, nie licząc folwarków, dawały mieszkańcom zatrudnienie, w konsekwencji zapewniały przyzwoitą egzystencję.

DR LEO I NARODZINY BAD HERMSDORF

Młyn należał wówczas do kupca Straussa i spółka kupców ze Złotoryi zbudowała w latach 1836-37 na terenie młyna dużą tkalnię i wykańczalnię sukna. Zakład zatrudniał 70 osób. Działał do roku 1875. Pięć lat później grunt i budynek zakładu odkupił od Straussa złotoryjski lekarz dr Christian Leo. Tenże, wykorzystując miejscowe źródła uruchomił, początkowo niewielkie, uzdrowisko. Otwarcie nastąpiło 11 lipca 1881 roku. Z czasem zakład rozrastał się – powstały nowe budynki z restauracją. Wprowadzano nowe i atrakcyjne metody leczenia np. kąpiele w wodzie mineralnej oraz w wywarze z igliwia świerkowego, kąpiele borowinowe i błotne – błoto sprowadzano ze źródeł Czerwonego Potoku (koło Nowej Ziemi). Stosowano także kurację pitną oraz żętycową - skuteczną na choroby układu trawiennego, choroby nerwicowe i reumatyczne, a także artretyzm i choroby kobiece. Doktor Leo dbał również o otoczenie; powstał park zdrojowy z altanką, muszla koncertowa, staw, boisko i korty. Niektóre elementy urządzenia parku w zdewastowanej już postaci, można jeszcze dzisiaj oglądać. Uzdrowisko stało się znane nie tylko na Śląsku; z jego usług korzystali kuracjusze z odległych krańców Niemiec. Rocznie miało tu przebywać na leczeniu około 200 kuracjuszy, chociaż zakład czynny był tylko w lecie. Dla uprzyjemnienia ich pobytu w zakładzie koncertowała, jeden lub dwa razy w tygodniu, złotoryjska kapela. Doktor Leo organizował także festyny oraz polowania na ptactwo (Vogelschießen). W trzecią niedzielę Zielonych Świątek organizował specjalny koncert dla wojska włącznie z balem, który gromadził nawet kilkuset gości z okolicy. Imprezę tę miejscowi nazywali Heiratsmarkt (targ ślubny), ponieważ wielu ludzi tu się zapoznawało i zawierało później małżeństwa. Zakład doktora Leo, w połączeniu z dobrze zorganizowanymi restauracjami we wsi oraz na Wilczej Górze, czynił ten rejon niezwykle atrakcyjnym turystycznie z szeroką i bardzo dobrze zorganizowaną bazą noclegową. Dopełnieniem tych obiektów były budynki naprzeciw obecnego Zakładu Poprawczego, przeznaczone dla gości przyjeżdżających konno własnymi pojazdami – były tam miejsca zakwaterowania dla gości oraz służby i stajnia (budynek nr 19). Na wniosek doktora Leo linię kolejową z Legnicy przedłużono do Marciszowa przez Jerzmanice. Również z jego inicjatywy przystanek w Jerzmanicach zaczęto nazywać Jerzmanice-Zdrój. Ta podwójna nazwa została przyjęta również przez miejscowość (wieś), mimo że dworzec kolejowy oraz zakład znajdowały się wówczas na terenie Podgórnika/Seiffenau/. W roku 1907 zmarł dr Leo – jego skromny grobowiec znajdował się w zagajniku, do którego prowadzi ścieżka obok leśniczówki (grobowiec zdewastowano). Przez kilka lat uzdrowisko pozostawało jeszcze w rękach jego spadkobierców. Nadal sanatorium, szczególnie kąpiele, cieszyło się dużym zainteresowaniem. W roku 1922 zakład kupiła kasa chorych z powiatu Rothenburg w Górnych Łużycach. Liczba korzystających z uzdrowiska stale wzrastała: w roku 1924 – 400, 1927 – 810 kuracjuszy. W samym tylko roku 1927 przeprowadzono ponad 8000 kąpieli. Później zakład przekształcono w ośrodek dla ozdrowieńców, głównie dzieci – kuracja trwała 4-6 tygodni. Według zachowanych danych miało z tego skorzystać około 650. dzieci. Na początku II wojny w byłym już uzdrowisku zlokalizowano dzieci z Berlina, chcąc uchronić je przed nalotami i bombardowaniami, a później – według ustnej relacji jednego z byłych mieszkańców – szpital wojskowy.

Po II wojnie początkowo zorganizowano tu koszary; następnie w latach 50. hotel robotniczy, a od roku 1959 Zakład Poprawczy o zaostrzonym rygorze; przy zakładzie funkcjonuje również szkoła.

W roku 1841 liczba mieszkańców wzrosła do 797., w tym 55 katolików.

W dokumencie z tego roku wykazano, że istnieje 101 budynków mieszkalnych, kościół ewangelicki oraz szkoła ewangelicka. Ponadto: dwa folwarki, jeden pałac, dwa piece wapiennicze, dwa kamieniołomy wapnia, jeden kamieniołom

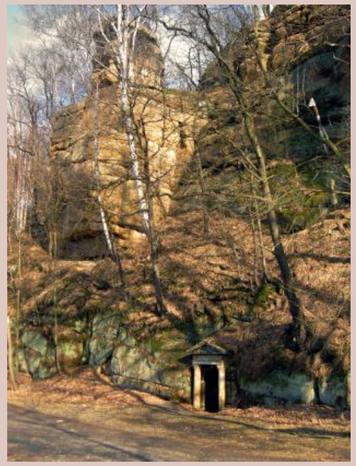

piaskowca oraz wymieniona wcześniej fabryka sukna. Po dalszych czterech latach, w roku 1845, stwierdzono kolejny wyraźny wzrost liczy ludności – w 105. budynkach mieszka 852. mieszkańców, w tym 55 katolików. We wsi istnieją wszystkie instytucje wykazane wcześniej a ponadto działalność prowadzi 6. rzemieślników, w tym fryzjer. Mieszkańcy zajmują się nie tylko rolnictwem, lecz także ogrodnictwem i hodowlą: 1100 merynosów i 239 sztuk bydła. Potwierdzono istnienie majątku rycerskiego z dwoma folwarkami, właścicielką jest hrabina von Hoyos z domu Schlabrendorf rezydująca w pałacu.

Dane statystyczne z roku 1871 i 1885 wykazują

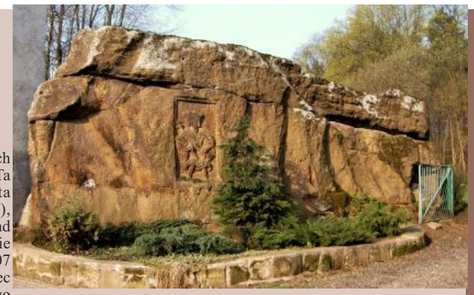

znaczny spadek liczby ludności, odpowiednio: 737 i 677 mieszkańców. Ma to prawdopodobnie związek z tym, że Prusy prowadziły w tym czasie dwie ciężkie wojny: w roku 1866 z Austrią oraz 1870/71 z Francją. Nie do przecenienia jest rola kolei żelaznej dla rozwoju Śląska, a szczególnie tych miejscowości, które znalazły się na trasie. W sierpniu 1895 uruchomiono linię prowadzącą ze Złotoryi do Świerzawy; w lutym 1896 przedłużono tę linię do Marciszowa; w maju 1896 uruchomiono linię Jerzmanice-Zdrój – Nowa Wieś Grodziska. Przystanki kolejowe dawały ludziom nowe miejsca pracy, kolej stwarzała możliwości kontaktów personalnych i gospodarczych. Bardzo poważnie rozważano uruchomienie nowej linii kolejowej do Jawora, co dawałoby nowe możliwości przemysłowi (np. wapienniczemu); stwarzałoby także okazję do dalszego rozwoju turystyki. Na przeszkodzie stanęły zarówno możliwości finansowe przedsięwzięcia, jak i trudności geograficzno-krajobrazowe. Godna odnotowania jest w tym kontekście sprawa, że od Zielonych Świątek do końca sierpnia władze kolei uruchamiały dodatkowe pociągi relacji Legnica – Złotoryja – Marciszów – Jelenia Góra, które kursowały w niedziele i wszystkie dni świąteczne. Przez następne pół wieku rola kolei systematycznie wzrastała. Regres nastąpił w momencie pojawienia się nowych środków lokomocji w postaci dużych samochodów transportowych. W efekcie najpierw ograniczano ilość kursów, a we wrześniu 1995 roku zupełnie zawieszono kursowanie osobowych pociągów relacji Legnica – Jerzmanice-Zdrój. Zabytkowy, przytulny dworzec PKP w Jerzmanicach-Zdroju ulega stałej dewastacji. W roku 2008 kursy wznowiono.

Na początku XX wieku mieszkańców znowu przybyło. Odnotowano np.: w roku 1904 – 650 mieszkańców, w roku 1914 – 570 mieszkańców.

Pierwsza wojna światowa przyniosła mieszkańcom nie tyle straty materialne ile ludnościowe. Władze ówczesnego cesarstwa niemieckiego w obliczu klęski militarnej nie zawahały się przed aktami świadczącymi niemal o barbarzyństwie – także w Jerzmanicach-Zdroju z wieży kościelnej zabrano dzwony na cele wojskowe. Mimo to, 10 lat po wojnie, liczba mieszkańców wzrosła dość wyraźnie i w roku 1920 statystyki wykazują 722. mieszkańców, natomiast w roku 1928 - 876 mieszkańców.

W roku 1926 wieś poniosła dużą stratę – spalił się młyn wodny (stał obok uzdrowiska). Szkody były tak poważne, że odbudowa młyna była niemożliwa a nawet nieopłacalna. Wybudowano w tym samym miejscu nową piekarnię – dziś jest ona nadal czynna, a jej właścicielami są obecnie Maria i Bronisław Kuflowie i nawiązują do najlepszych tradycji firmy.

W następnym roku podjęto próbę w zakresie dwóch inwestycji: przebudowano jaz na Kaczawie i podjęto próbę wydobywania złota. To ostatnie przedsięwzięcie okazało się ostatecznie nieopłacalne i zrezygnowano z niego. W tym samym roku liczba mieszkańców wynosi 750, w tym 41 katolików oraz 6. przedstawicieli innych wyznań. W szkole uczy się 131 uczniów (w tym 5. katolików), w 4. klasach; zajęcia prowadzi trzech nauczycieli.

Opracował: Alfred Michler
Zdjęcia: Edward Kmita

„Repatriacja“

Repatriacja (łac.) powrót do kraju ojczystego osób, które wskutek różnych przyczyn znalazły się poza jego granicami. Stanowi ona także uprzywilejowany tytuł do nabycia obywatelstwa ojczystego kraju. Termin ten był używany przez władze PRL do określenia wysiedleń ludności ze wschodnich kresów Polski.

Niewiele jest rodzin w naszym kraju, których by tzw. „repatriacja" – pośrednio lub bezpośrednio – nie dotknęła. Oblicza się, że ok. 6,5 mln Polaków (nie licząc jeńców wojennych) zostało skazanych na tułaczkę. To ¼ ogółu ówczesnej ludności polskiej. Wśród osób, które zostały wysiedlone ze wschodu, jest nasza babcia (wieś Polana, dzisiejszy powiat Ustrzyki Dolne -Bieszczady) – Janina Michnej.

Weronika i Wiktor: *O wysiedleniach w Polsce długo nie wolno było rozmawiać. To były tematy poruszane jedynie w prywatnym, rodzinnym gronie.*

Janina Michnej: To prawda. O wysiedleniach prowadzonych przez Niemców w tzw. kraju Warty czy na Zamojszczyźnie, o łapankach i wywożeniu na roboty przymusowe można było pisać i kręcić filmy. O deportacjach na Syberię czy wysiedleniach z Kresów – już nie. Jeśli już mówiło się o wysiedlonych ze Wschodu, to używano terminu „repatrianci". Jacy z nas byli repatrianci, przecież nie wracaliśmy do swojej ojczyzny?

Wysiedlenie miało być dla nas dobrodziejstwem. Swoje zapóźnione cywilizacyjnie wioski mieliśmy zamienić na „mlekiem i miodem płynące Ziemie Zachodnie, po wiekach wracające do Macierzy".
Szkoda tylko, że nie wspominano o dramatach: utracie domu, ojcowizny, konieczności uciekania w nieznane, żalu po stracie swojej małej ojczyzny.

W.W: *Jak wyglądały te wysiedlenia?*

J.M: Ludzie często mieli na spakowanie się parę godzin, dobytek musiał się zmieścić na dwóch wozach, resztę przejmowało wojsko. Pociągi wiozły w nieznane.

W.W: *Wiemy, że wioska, w której mieszkałaś przed wojną, zamieszkiwana była przez Polaków, Ukraińców, Łemków, Bojków, Rusinów, czy Żydów. Jak to możliwe, że tyle nacji żyło w zgodzie „pod jednym dachem"?*

J. M: Było to możliwe, żyliśmy ze sobą w zgodzie. Zdarzały się mieszane małżeństwa. Do czasu, gdy na Wołyniu nacjonaliści ukraińscy (UPA – Ukraińska Powstańcza Armia) zwani potocznie „banderowcami" rozpoczęli czystki etniczne. Nasi ukraińscy sąsiedzi uzbrojeni w kosy, widły i sierpy mordowali ludzi, z którymi od wieków żyli w tych samych wioskach. Pamiętam doskonale, jak musieliśmy się kryć w lasach przed „banderowcami", którzy nie oszczędzali nawet kobiet i dzieci.

To pamięć tych mordów sprawiła, że zaczęto wysiedlać Ukraińców w ramach akcji „Wisła". Wysiedlenia były czasem bardzo brutalne. Cały dobytek ludzi mieścił się w tobołkach a gospodarstwa, których właścicieli uznano za współpracowników UPA, często palono.

Zdarzało się często, że ludzie objęci akcją „Wisła" nie mieli nic wspólnego z mordami na Wołyniu. Nas, mieszkańców wschodniej Polski, często określano wspólnym mianem: Ukrainiec - czyli w domyśle: kolaborant, zbrodniarz i bandyta. Nikt na nas w nowym miejscu nie czekał, nikt nie chciał wysłuchać relacji o tym, co przeżyliśmy. Byliśmy wykorzenieni, a w nowym miejscu czuliśmy się obco. Pocieszające było jedynie to, że przesiedlani byliśmy całymi wioskami, mogliśmy liczyć na siebie nawzajem.

Na zachodzie zastawaliśmy zadbane, mimo wojennych działań, gospodarstwa, a niekiedy i właścicieli tych gospodarstw, czekających na wysiedlenie. Pamiętam, że w sąsiedztwie mieszkały Niemki. Czasami wspólnie gotowałyśmy obiad, nasze dzieci razem się bawiły. Gdy musieli wyjeżdżać, było nam ich żal. Rozumieliśmy, że czeka ich ten sam los, który nas spotkał. Muszą zostawić swoje domy, kościoły, w których brali śluby, cmentarze, na których były groby ich bliskich. Bywało, że te same pociągi woziły Polaków, Niemców i Ukraińców. Są tacy, którzy do dziś utrzymują kontakt z dawnymi właścicielami, albo z ich rodzinami. Czasami trzeba samemu przeżyć tragedię, by zrozumieć, co przeżywa ten „obcy".

W.W: *Dlaczego nie wróciliście z dziadkiem w rodzinne strony? Przecież była taka możliwość?*

J. M: Dlatego, że powoli zaczynaliśmy zżywać się z tą ziemią. Pamiętam, jak przyjechaliśmy tutaj – kolejny transport ze wschodu – wszystko było dla nas nowością (dzieci bawiły się żarówkami, tłukły je, ponieważ nie wiedziały, do czego służą) murowane domy, ogromne stodoły a w nich sprzęt gospodarski. We wsi znajdowały się: piekarnia, masarnia, szklarnia.

Tu urodziła się wasza mama, wujkowie i ciocie. Groby naszych dziadków zostały na wschodzie, ale na tutejszych cmentarzach leżą pochowani nasi rodzice. Mimo, że przez wiele lat żyliśmy w obawie przed powrotem Niemców (dlatego domy i gospodarstwa długo pozostawały zaniedbane), to następne pokolenia, w tym i wy, traktują tę ziemię jako swoją małą ojczyznę.

rozmawiali: Weronika i Wiktor Zakrzewscy

rys. Robert Tyc

Zsyłka

Skończyła właśnie siedem lat. Była zima, późny wieczór. Matka kładła Małą, najmłodszą z pięciorga swoich dzieci, do snu. Otuliła ciepłą pierzyną. Mała zapadała już w sen, gdy nagle wpadli.

- *Won! Won! Ubirajties otsiuda*! – krzyczeli.

Przerażona, próbowała zrozumieć, co się stało. I wtedy ich zobaczyła. To byli sołdaci! Spotkało ich to, co od jakiegoś czasu spotykało okoliczne polskie rodziny. Zsyłka!

Matka w popłochu zaczęła zbierać niezbędne do podróży rzeczy. Starsze rodzeństwo ubierało się ciepło na długą poniewierkę. Mała przypomniała sobie o fotografii ojca i pobiegła na górę, aby ją zabrać. Matka przecież tak często ze łzami w oczach wpatrywała się w nią. Gdy wracała ze zdjęciem w ręku, sowieci wściekli się. Zaczęli ich szarpać, wyzywać, wyrzucać z domu. Małą matka zawinęła w pierzynę, bo na ubieranie nie było już czasu.

Popędzili ich na stację, wepchnęli do zimnego, brudnego i cuchnącego wagonu. Ścisk, płacz, lament. Mała była szczęśliwa, że z nią jest matka i rodzeństwo. Żałowała tylko bezpowrotnie straconego zdjęcia ojca. Sołdat wyrwał je z jej dłoni, przedarł, rzucił na ziemię i podeptał swoimi ogromnymi buciorami.

*

Bydlęcy, brudny wagon. Przysiedli byle jak, każdy na swoim tobołku. Mała, przerażona, tuliła się do matki, która jak kwoka wyciągała ręce i zagarniała bliżej siebie całą gromadkę.

Wtedy matka pierwszy raz zemdlała.

Ruch, rozgardiasz, ktoś podał wodę, ktoś próbował otworzyć drzwi, żeby zlikwidować zaduch. Zrozpaczone rodzeństwo płakało. Jednak matka jakoś pozbierała się, otworzyła oczy i znów, wyciągając ręce, dotykała ich po kolei. Uśmiechnęła się:

- Nie bójcie się. Przeżyjemy ten koszmar i wrócimy razem do domu, jak Bóg pozwoli.

Mała, uspokojona, ale jeszcze mająca pod powiekami obraz kredowobiałej twarzy matki, przytula się do jej piersi i słyszy niespokojne bicie kochanego serca.

Wydawało się, że ta koszmarna podróż trwała wieki. Mała, początkowo przestraszona i często zawstydzona scenami wspólnej niedoli, później zobojętniała na wszystko licząc czas od postoju do postoju. Nawet poród w pociągu i krzyk nowo narodzonego nie zrobił na niej większego wrażenia.

*

Kolejna zima na Sybirze. Lodowaty wicher hula przez szpary baraku, obsypuje śniegiem pryczę. Mała otula się mocniej pierzyną. Tyle razy matka błogosławiła chwilę, gdy nie miała czasu Małej ubrać! Byli teraz bogaci. Mieli przecież pierzynę. Ileż razy ta miękka ciepła powierzchnia ratowała im życie!

Wigilia. Na kolację matka pokroiła ostatni większy kawałek chleba. Pieczołowicie maczała każdy paseczek w oleju i po kolei dawała dzieciom. Dziękowała Bogu, że są nadal wszyscy razem i, jeśli Bóg pomoże, przetrwają. Mała zjadła swój kawałeczek chleba łapczywie. Była ciągle głodna. Potem matka zaintonowała *Lulajże Jezuniu*... Mała śpiewała razem ze wszystkimi. Było jej dobrze. Tylko dlaczego matka płacze?

*

To już szóste lato. Matka twierdzi, że ostatnie. Wojna już się skończyła i sowieci w popłochu pozbywają się Polaków wysyłając ich z powrotem na Zachód.

Najstarszy brat poszedł na zarobek na szachtę. Trochę im się poprawiło, dostali większe przydziały żywności. Matka modliła się codziennie, żeby brat wrócił cało z kopalni. Jakoś im się udawało.

Coraz częściej mówili o powrocie. Okoliczne rodziny polskie cieszyły się, ale też i martwiły. Pochowali przecież w tej sybirskiej ziemi tylu bliskich! I chodzili na groby w te ostatnie dni, jakby chcąc oszukać czas, gdy ziemia się wyrówna, groby zarosną mchem i trawą, i pójdą w zapomnienie.

Matka ciągle powtarzała:

- Dziękujcie Bogu, że przeżyliśmy wszyscy. Jesteśmy wszyscy razem.

Było to ponad 50 lat temu. Bohaterka wspomnień pani Władysława Maison nie żyje od 2000 r.

**Won, won, wynoście się stąd!*

Agnieszka Młyńczak

II spotkanie Echa

Już po raz drugi 29. stycznia 2009 roku *Echo Złotoryi* spotkało się z czytelnikami. Swoją obecnością zaszczycili nas sponsorzy, dzięki którym nasze pismo ma szansę się ukazywać, a wśród nich m.in. wójt Gminy Złotoryja pani Maria Leśna, przedstawiciele KSS SA Złotoryja i PGP „Bazalt" SA w Wilkowie. Przybyli też przedstawiciele innych mediów, wśród nich Bartosz Jeziorski (zlotoryja.info), Kinga i Krzysztof Maciejakowie, młodzi przedstawiciele stowarzyszenia „Aureus Mons", panie ze stowarzyszenia „Edukacja Przyszłości". Samorządy reprezentowali radny powiatu Zenon Bernacki i radny rady miejskiej Tadeusz Oleksów. Wśród czytelników szczególnym gościem był pan Lejb Szklar z Legnicy (z małżonką), dzięki któremu mogliśmy publikować ciekawe materiały o judaizmie. Gości przyszło nadspodziewanie dużo, tak że Izba złotoryjska w siedzibie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej pękała dosłownie w szwach.

Tort urodzinowy dzielony przez sekretarza redakcji - Annę Chrzanowską. Fot. Ryszard Masłowski

Na początku prezes TMZZ Aleksander Borys powiedział kilka słów o idei powstania pisma, a redaktor naczelny Robert Pawłowski przedstawił całą redakcję i osoby współpracujące oraz opowiedział o naszej pracy nad *Echem*. Następnym punktem miała być dyskusja. Zabierający głos wypowiadali się o piśmie w samych superlatywach, czym wprawili nas w lekkie zakłopotanie. Nie spodziewaliśmy się aż tylu pochwał. Niemniej wśród tych głosów wyłowiliśmy i takie, o których będziemy na pewno dyskutować na kolegiach redakcyjnych, aby zmienić i ulepszyć niektóre rzeczy.

Zebranym zostały rozdane anonimowe ankiety, w których mogli się wypowiedzieć o tematach poruszanych w *Echu*, osób prezentowanych na naszych łamach jak też zaproponować zmiany bądź inne pomysły. Nad tymi ankietami na pewno pochylimy się z uwagą i wykorzystamy je w naszej dalszej pracy. Wszystkie ankiety wzięły udział w losowaniu a posiadacze wylosowanych numerów otrzymali drobne upominki w tym roczną prenumeratę *Echa*. Były to segregatory z wyjątkowymi zdjęciami okolic.

Była dyskusja i były drobne upominki. Fot. Ryszard Masłowski

Potem był poczęstunek, a nawet tort z okazji drobnego jubileuszu dwóch lat wydawania *Echa Złotoryi* drugiej edycji. Mamy głęboką nadzieję, że takich jubileuszy wiele przed nami.

Bardzo dziękujemy wszystkim przybyłym za udział w spotkaniu, bo przecież Czytelnicy są dla nas najważniejsi. Wasze ciepłe słowa, które usłyszeliśmy pod naszym adresem, zmobilizują nas do jeszcze lepszej pracy, aby nasze pismo było coraz bardziej atrakcyjne.

w imieniu całej redakcji Agnieszka Młyńczak

Od połowy lutego, na stronach internetowych „Echa Złotoryi" (www.tmzz.pl) uruchomiliśmy forum internetowe, gdzie wszyscy mogą umieszczać swoje uwagi, opinie, propozycji a także wolne myśli – serdecznie zapraszamy.

Redakcja

Małe Kino - riposta

W grudniowym numerze „Echa Złotoryi" ukazał się artykuł „Małe Kino" napisany przez Aleksandra Bieleckiego.

Cieszymy się, że autor zauważył remont kina z 2007 r. podczas którego zostało wymienione nagłośnienie, fotele, podłoga oraz wymalowano ściany. Niestety nie wymieniono ekranu oraz projektorów (które zostały tylko dostosowane do nowego nagłośnienia), ponieważ mieliśmy ograniczone środki finansowe na remont sali, którego koszt wyniósł 617.000 zł. Środki finansowe otrzymaliśmy dzięki dofinansowaniu Urzędu Miejskiego, sponsora PGP Bazalt w Wilkowie, dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego - dotacja wyniosła 250 tys. a planowana była kwota 450 tys. zł oraz środków własnych, które w związku z niższą niż planowana dotacja z MKiDzN wzrosły do 200 tys. zł. Zaciągnięty został więc kredyt inwestycyjny w banku. Dlatego musieliśmy wyremontować to, co było najważniejsze.

Ceny biletów w złotoryjskim kinie to 12 i 14 zł. We wrocławskich multipleksach ceny wahają się od 21 zł do 14 zł (dla uczniów i studentów) i uzależnione są od dnia tygodnia - weekendy są najdroższe. W Złotoryi nie uzależniamy ceny od dnia tygodnia ale na niektóre filmy i bajki dla dzieci cena ustalana jest na poziomie 12 zł a w przypadku seansów zbiorowych wynosi nawet 10 zł. Bywa tak, że cena biletu narzucana jest z góry przez dystrybutora. Nie wiem, w jaki sposób obliczona została średnia cena w multipleksie w wysokości 15 zł, ponieważ w rzeczywistości jest wyższa, a jeżeli doliczymy jeszcze dojazd do Wrocławia, to koszt jest znacznie większy a jakość - porównywalna. Każdy jednak ma prawo wyboru i jeżeli jest częstym gościem we Wrocławiu i stać go na zapłacenie biletu w cenie 19 lub 21 zł, to dlaczego nie miałby skorzystać z tej atrakcji?!

Seanse w kinie Aurum nie są odwoływane dlatego, że mamy taki kaprys, tylko dlatego, że dany film (jak zauważył autor) nie cieszył się dużym zainteresowaniem i nie było chętnych. Repertuar kina ustalany jest na miesiąc z góry, wiąże się z tym dopasowanie wysyłki filmów i ustalanie terminów z dystrybutorami oraz innymi kinami głównie dolnośląskimi. Tak więc w momencie otrzymania kopii nie można odwołać filmu i oddać go dystrybutorowi a wziąć sobie inny tylko dlatego, że jest małe zainteresowanie. A jeżeli chodzi o seanse dla 2 osób, to zdarzają się takie sytuacje również u nas.

Jesteśmy kinem małym. Pierwszeństwo grania filmów mają kina duże (np. kina wrocławskie) i paradoksalnie filmy do małych miast trafiają właśnie wtedy, gdy duże kina przestają je już grać i zwalniają kopie filmowe. Filmy w naszym kinie pojawiają się średnio miesiąc po premierze. To dobry wynik.

W dużych kinach film grany jest na jednym projektorze. Kopia filmowa, która składa się z kilku rolek, jest sklejana, a następnie odcinana i dzielona z powrotem na małe rolki. Przycinanie filmów jest przyczyną sklejania i odcinania rolek w innych kinach a nie błędem kinooperatorów w złotoryjskim kinie.

Autor artykułunie znalazł w Internecie o naszym kinie nic ciekawego i wartościowego tylko wzmiankę o remoncie kina. A czyż nie najważniejsza w działalności kina jest informacja o repertuarze kina – chodzi przecież o to, by widzowie mieli łatwy dostęp do repertuaru!

Jak mniemam, autor nie jest zwolennikiem filmów o Papieżu Janie Pawle II. Filmy te cieszyły się bardzo dużym zainteresowaniem nie tylko w Złotoryi ale w całym kraju - wystarczy prześledzić dane dystrybutorów o ilości sprzedanych biletów. Nikt nigdy nie zmuszał uczniów do przyjścia na seans.

A oprócz filmów o papieżu grane są także inne filmy cieszące się dużym zainteresowaniem widowni - również szkolnej . Wymienię tylko kilka tytułów 2008 roku: *Opowieści z Narnii*, *Jeszcze Raz*, *Skarb Narodów*: *Księga Tajemnic*, *Nie kłam kochanie*, *Lejdis*, *To nie tak jak myślisz kotku*, *Ranczo Wilkowyje*, *Mamma Mia*, *High School Musical 3* - tak więc filmy polskie, komedie, filmy dla dzieci. Złotoryjanie często chodzą też na horrory oraz filmy obyczajowe.

Kino w Złotoryi zamykane jest w czasie wakacji na jeden miesiąc bowiem w kinie zatrudnionych jest tylko 2 kinooperatorów (których nie ma możliwości zastąpienia) na umowę o pracę a pracodawcę obowiązuje Kodeks Pracy wg którego każdemu pracownikowi przysługuje urlop wypoczynkowy. Wakacje to czas, gdy w kinie jest najmniej widzów, gdyż to czas spędzania wolnego czasu na świeżym powietrzu, grillach w ogródkach oraz wyjazdów na wczasy, kolonie i urlopy.

Kierując się sugestią autora będziemy próbowali zwiększyć od lutego ilość seansów do trzech tytułów dziennie. Liczymy na to, że sprawdzą się Pana przewidywania marketingowe.

Urszula Jaworska Kierownik Kina „ Aurum"

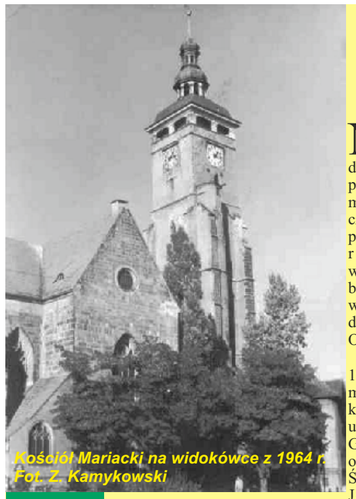

Kościół Mariacki na widokówce z 1964 r. Fot. Z. Kamykowski

Tuż przed Milenium

Niniejszy tekst dedykujemy przede wszystkim młodszym czytelnikom, aby przypomnieć rzadko już wspominane a bardzo ważne wydarzenia z dziejów naszej Ojczyzny.

W sierpniu 1956 roku około 1 miliona katolików wzięło udział na Jasnej Górze w odnowieniu Ślubów Jasnogórskich. Tekst modlitw przygotował Prymas Stefan Wyszyński, który dopiero w październiku 1956 r. został zwolniony z internowania w Komańczy. Z jego inicjatywy w 1957 r. została zainaugurowana dziesięcioletnia Wielka Nowenna, której zwieńczeniem miały być w 1966 r. uroczystości z okazji 1000-lecia(milenium) Chrztu Polski. Nowenna była programem pogłębienia i ożywienia wiary, obejmującym wiele dziedzin duszpasterstwa. Jednym z bardzo ważnych elementów Nowenny była pielgrzymka po kraju kopii obrazu Czarnej Madonny.. Rozpoczęte przez Kościół przygotowania do obchodów Milenium były negatywnie oceniane przez władze partyjno-państwowe. Ekipa Władysława Gomułki poczuła się nimi zagrożona i starała się pomniejszyć ich rozmiar i znaczenie. Postawiono, również na Dolnym Śląsku, w stan gotowości siły porządkowe. Uroczystości religijne „zabezpieczali" funkcjonariusze MO i SB, robiąc zdjęcia ich uczestnikom. Dochodziło nawet do prób „aresztowania" kopii obrazu jasnogórskiego.

W tych wydarzeniach uczestniczyli również mieszkańcy Ziemi Złotoryjskiej. Zapisywał je skrupulatnie w kronice parafii św. Jadwigi ks. proboszcz Onufry Stankiewicz, kierujący parafią w latach 1957-1969. Wobec tego, że Złotoryja w latach 1945-1995 nie prowadziła kroniki, można uznać, że kronika parafialna miała wtedy charakter kroniki miejskiej. Oto fragmenty tego bezcennego dokumentu.

1957

Ks. Prymas Kardynał Stefan Wyszyński wraz z całym Episkopatem Polskim zarządza Wielką Nowennę z racji zbliżającego się Tysiąclecia Chrztu Polski: 966 r. – 1966 r. Do tak drogiej pamiątki dla całego narodu polskiego ma się społeczeństwo katolickie przygotować i odnowić na nowo w Chrystusie Panu przez Wielką Nowennę, tzw. Milenium. Złotoryja również rozpoczęła Wielką Nowennę.

W pierwszą niedzielę miesiąca maja 1957 r. w kościele parafialnym w Złotoryi odbyło się uroczyste ślubowanie ku czci M. Bożej Królowej Polski i odnowienie tych przyrzeczeń, jakie 300 lat temu wstecz – 1656 r. składał w swym i całego narodu polskiego imieniu król wygnaniec Jan Kazimierz przed cudownym obrazem Matki Bożej Łaskawej we Lwowie. Tekst ślubowań został ustalony i wydrukowany przez Episkopat Polski; obejmuje zagadnienia wiary w Boga, obronę życia nienarodzonego, poszanowania Sakramentu Małżeństwa, życia rodzinnego itp. Każdy rok Wielkiej Nowenny to dokładne naświetlenie w duchu katolickim poszczególnych zagadnień wiary i moralności, mających przyczynić się do odnowy duchowej całego narodu i przygotowania go na radosne Milenium Roku Pańskiego 1966 r.[…]

1963

Już dawno nie przeżywaliśmy tak ostrej zimy, jak obecna. Mrozy dochodziły do 30 i kilku stopni. Porywiste wiatry zawiały tak drogi, że wszelka komunikacja została sparaliżowana. Pociągi utknęły w zaspach a w wielu wypadkach zostały zasypane całkowicie śniegiem, trzeba było kopać tunele, aby pasażerów wyciągnąć z pociągu. Zabrakło węgla, a z braku jego zagłądnęło zimno do mieszkań. Wydawano tylko 200 kg na miesiąc – kolejki ogromne za węglem. Stanęły szkoły. Trzeba było przerwać z braku węgla i katechizację młodzieży. Kościoły także opustoszały. W niektórych miejscowościach Polski mróz sięgał do 45 stopni. Dopiero w marcu mrozy pofolgowały. […]

Z początkiem lutego 1963 roku przybywa kopia Obrazu M.B. Częstochowskiej do naszej Archidiecezji. Obraz witają wszędzie tysiące wiernych. Obserwuje się niesłychany entuzjazm religijny. Dzieją się liczne nawrócenia. Łączą się dzikie małżeństwa. Kapłani dzień i noc spowiadają. Dzień Nawiedzenia Obrazu to dzień niezapomniany już na długie czasy. […]

Nawiedzenie Obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej, czyli tzw. Peregrynacja Obrazu – 20 VII 1963 r.

Zbliża się czas Nawiedzenia Obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej. Od 13 lipca do 20 lipca odbywają się w kościele N.M.P. [kościół Mariacki do 2000 r. należał do parafii św. Jadwigi – przyp. RG] *Wielkie Misje prowadzone przez Ojców Redemptorystów. Podniesienie i zapał religijny rośnie z dnia na dzień. Upały ogromne, w kościele tak duszno, że trzeba było powybijać dużo szyb, aby było trochę przewiewu.*[…] *Za głównym ołtarzem parafianie budują windę, która wyniesie Ołtarz Matki Boskiej na odpowiednie miejsce w głównym ołtarzu. Kościół tonie w girlandach.*

Władze powiatowe usiłują pomniejszyć uroczystość Nawiedzenia Obrazu. Zwołują wszystkich proboszczów – grożą karami, mandatami. Obraz przybędzie do Złotoryi z Pielgrzymki.

Dzieci gromadzą na karteczkach dobre uczynki, przypinają je do serduszek wykonanych z materii i tekturek. Te serduszka zawisną koło Obrazu. Nadchodzi dzień 20 lipca 1963 r. Cała trasa przejazdu Obrazu od strony Pielgrzymki ustrojona zielenią, wieńcami, w oknach obrazy święte i zapalone światło. Na kilka godzin przed przyjazdem Obrazu kościół N.M.P. napełnia się wiernymi, przed kościołem gromadzą się niezliczone rzesze wiernych. Straż porządkowa złożona z kilkudziesięciu mężczyzn pilnuje porządku. Zbliża się godzina 18. Prawie całe duchowieństwo z dekanatu Złotoryja na czele Procesji wychodzi z kościoła naprzeciw Obrazowi. Z małej wieży kościoła, która przybrana jest sztandarami i światłem, rozlegają się dźwięki dętej orkiestry, sprowadzonej z Lubania Śląskiego. Orkiestra gra Hejnał, to znak, że już zauważyli na szosie Jerzmanice – Złotoryja poczet Obrazu. Poruszenie niesłychane, za parę chwil nadjeżdża czołówka, to duża ilość motocyklistów i samochodów, oraz wreszcie samochód-kaplica, wiozący Ołtarz Matki Boskiej Jasnogórskiej. Napór tłumu ogromny. Straż porządkowa ledwie panuje nad porządkiem, księża biorą Ołtarz na swe ramiona, tłumy przy śpiewie Maryjo, Królowo Polski padają na kolana. Ledwie zdołano wnieść Ołtarz do świątyni. Tu następują cztery Stacje Obrazu. Obraz niesiony jest przez cztery stany. Na chwilę Obraz znika za głównym ołtarzem. Winda wyciąga Obraz na miejsce przygotowane – orkiestra gra. Kościół przepełniony do ostatku, tłumy stoją za kościołem, nie mogą się do wnętrza dostać. Ale Ołtarz będzie w Kościele przez 24 godziny. Delegacja z Pielgrzymki, która przywiozła Obraz, żegna teraz Matkę Boską śpiewając pieśń pożegnania i składając wiązki kwiatów na ołtarzu. Następuje przywitanie Obrazu przez parafię, a następnie uroczysta Msza św. z kazaniem Redemptorysty. Nabożeństwo się skończyło, a kościół dalej przepełniony. Dopiero w późnych godzinach wieczorowych zrobiło się trochę miejsca wolnego w świątyni. Rozpoczynają się godziny Adoracji poszczególnych stanów aż do północy. O północy Msza św. – kościół znowu pełny i tak już będzie aż do odjazdu Obrazu. Kapłani spowiadają całą noc. Konfesjonały pełne. Przychodzą zwłaszcza w nocy parafianie, którzy od wielu lat się nie modlili, ani spowiadali. Korzystają ze spowiedzi nocnej partyjni, komuniści, różnego rodzaju ateiści, których Obraz Matki Boskiej poruszył i nawrócił. Zawierają małżeństwa wiarownicy [żyjący dotąd bez ślubu – przyp. RG] *– około 30 ślubów. Do Komunii Św. przystępuje wiele tysięcy. Rozdano w parafii w czasie Nawiedzenia około 25 tysięcy Komunii św. W ciągu całej niedzieli 21 lipca, nabożeństwa i nieustanna Adoracja Obrazu M.B.*

Kościół NMP. Pogrzeb ks. Onufrego Stankiewicza – 1969

Zbliża się godzina 17. Ostatnie już chwile pobytu Obrazu w kościele. Następuje pożegnanie. Po przemówieniu Redemptorysty Obraz M. Boskiej się opuszcza windą. Nastaje powszechny szloch w kościele. Wszyscy mają łzy w oczach. Powoli Obraz posuwa się przez kościół. Ludzie chcą jeszcze ostatnie spojrzenie rzucić na Obraz. Przed kościołem już ustawiają się motocykle, samochody, podjeżdża samochód-kaplica. Ludzie padają na kolana. Pieśń O Maryjo żegnam Cię miesza się z powszechnym płaczem. Piękne było przywitanie Obrazu, ale to co się dzieje przy Jego odjeździe, to przechodzi słowa opisu. Grają już motory samochodów, ledwie torując sobie drogę. Padają ludzie na kolana na Placu Zwycięzców, Placu Wolności. Takiego widoku miasto chyba jeszcze nie oglądało. Czoło kolumny już zjeżdża ze Złotoryi koło stacji kolejowej, a samochód-kaplica dopiero powoli rusza z miejsca w kierunku na Jerzmanice – Zdrój, Pielgrzymkę do Twardocic. […]

W Prusicach nastąpił niemiły zgrzyt ze strony czynników milicji M.O. Zaledwie Obraz wyjechał z Prusic w kierunku na Wilków, gdy milicja zatrzymała wszystkie towarzyszące motocykle i samochody, przepuszczając tylko samochód-kaplicę i samochód z księżmi. Nie przeszkodziło to jednak w uroczystościach, bo ludzie na piechotę przez pola powędrowali masowo do Wilkowa, gdzie zdążyli jeszcze na czas, na Nawiedzenie w Wilkowie.

Ks. Onufry Stankiewicz miał nadzieję, że Nawiedzenie Obrazu zapadnie na długo w serca złotoryjan. Jeśli starsi z nas być może odszukają w pamięci tamte czasy, to artykuł spełni i taką pozytywną rolę. Byłoby wspaniałe, gdyby jeszcze odnalazły się w naszych domowych zakamarkach zdjęcia, ilustrujące ten doniosły lipiec 1963 r. Kronika parafialna, niestety, zawiera bardzo mało fotografii.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Dla większego apetytu

W oczekiwaniu na kolejne wydawnictwo TMZZ, którym będą reprinty osiemnastu znanych nam najstarszych widokówek miasta i okolic, już teraz prezentujemy dwie spośród nich. Obie ciekawe karty wysłano w czerwcu 1898 r., czyli ponad 110 lat temu. W tamtych czasach, czyli do 1905 r., miejsce na korespondencję umieszczano po tej samej stronie co ilustracje, na odwrocie pisano tylko adres.

Widokówkę z trzema obrazkami – fragmentem Rynku, Wilkołakiem (Wilczą Górą) i tzw. Leśnym Zamkiem, czyli zajazdem koło Jerzmanic Zdroju – wysłano do Legnicy a drugą, na której widzimy turystę z lornetką, panoramę miasta, budynki poczty i Urzędu Miejskiego (wówczas Starostwo) do Berlina. Pierwszą wydrukowano w Legnicy a drugą w Złotoryi. Obie skutecznie zachęcały do zwiedzania Ziemi Złotoryjskiej. A dzisiaj wciąż brakuje widokówek, ukazujących piękno naszego regionu.

Roman Gorzkowski

Nie tylko dla kolekcjonerów

Członków Klubu Kolekcjonera oraz wszystkich zainteresowanych historią naszego regionu serdecznie zapraszamy na otwarte spotkanie Klubu Kolekcjonera promujące najnowsze wydawnictwo TMZZ pt. „Najstarsze widokówki Złotoryi i okolic" - w dniu 9 marca o godz. 18.00 w siedzibie TMZZ.

Warto przeczytać

Z kopalni na wieżę

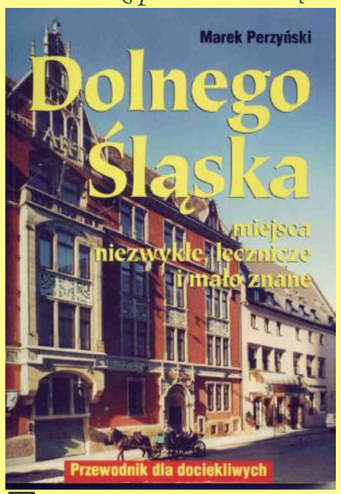

Taki tytuł nosi jeden z rozdziałów książki Marka Perzyńskiego *Dolnego Śląska miejsca niezwykłe, lecznicze i mało znane. Przewodnik dla dociekliwych.* Autor zachęca do zwiedzania wszystkich sal wieży widokowej kościoła Mariackiego, ale szczególnie tej, w której Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej odtworzyło w latach 1995-1996 jeden z pulpitów biblioteki łańcuchowej. Jej rekonstrukcja, jak twierdzi M. Perzyński, *stanowi nie mniejszą atrakcję* niż Kopalnia Złota „Aurelia", do której odwiedzenia, rzecz jasna, także zaprasza czytelników.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Pod czujnym okiem Bieruta

Trochę wiemy o prezentowanej fotografii – przedstawia głównie grono pedagogiczne Średniej Szkoły Zawodowej w Złotoryi, zapewne w latach 1947-1948. Właścicielka fotografii rozpoznaje siedzącą na podłodze(pośrodku) Lidię Mileszko, wyżej, dostojne postaci Kazimierza Grohmana, Władysława Połcia, Zygmunta Miszczaka - burmistrza Złotoryi, Marii Szczepkowskiej i Franciszka Herbuta. Stoją m.in. Antoni Haluza, Janina Plackowska i Anna Małachowska. Kto uzupełni „listę obecnych"? Nawiasem mówiąc, jak dobrze, że dzisiaj nie spoglądają już na nas takie indywidua jak Bierut i Cyrankiewicz.

Roman Gorzkowski

Echa fotografii

Drogowcy wzięli się do robót drogowych. Piasek jako materiał budowlany przewieziono, na ulicę Górną. Zaczynali budować ulicę. Po wojnie stał tam garaż, który został rozebrany. Dzieci umiały wykorzystać tą pryzmę do swoich figli. Ten najmniejszy to ja, Andrzej Adamczyk, opiekuje się mną siostra Halina, z przodu jest Krzysiek Bryś, Komor, który wyjechał do USA, Bracia Nalepkowie, Albrecht Stanisław. Poniżej była ulica Dolna, obecnie Sikorskiego. Wzdłuż ulicy Nowotki obecnie Piłsudskiego stały kamieniczki XIX i XX wieczne, jednak ząb czasu zostawił na nich ślad. Groziły zawaleniem, były rozbierane. Powstawały nowe budynki mieszkalne .W jednym z nich mieści się teraz apteka Pod Złotą Wagą. Działo się to w czerwcu lub wrześniu 1965 roku. Świadczą o tym fartuszki szkolne.

Miałem wtedy 3 latka. Mieszkaliśmy w poniemieckich kamieniczkach, po sąsiedzku.

Spisała Jana Kaluża

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. ZŁOTORYJA
KSS S.A.

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe
płukane
kolorowe
posypki
mączki
STONESPOL
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023